

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa 13 styczeń 1946

Nr. 2 (8)

Witold Bieńkowski

Nowe prawo małżeńskie

Artykuł XIII przepisów wprowadzających prawo małżeńskie brzmi:

„W ciągu trzech lat od dnia wejścia w życie prawa małńskiego, sąd orzeka rozwód, jeżeli małżonkowie po trzyletnim trwaniu małżeństwa zgodnie o to wnoszą“.

Artykuł 24 w rozdziale V dekretu z dn. 25.IX. 1945 „prawo małżeńskie“ zatytułowanym „rozwód“ brzmi:

„Na żądanie jednego z małżonków sąd orzeka rozwód, jeżeli orzeka, że względem na dobro niepełnoletnich dzieci nie stoi temu na przeszkodzie, oraz jeśli stwierdzi stały rozkład pożycia małżonków, w szczególności dlatego, że drugi małżonek:

1) dopuścił się cudzołóstwa, chyba, że powód je przebaczył, albo upłynęło sześć miesięcy, odkąd powód o nim dowiedział się, lub trzy lata od zajścia cudzołóstwa;
2) nastawał na życie powoda lub jego dziecka, albo dopuścił się wobec powoda ciężkiej zniewagi, chyba, że ten mu przebaczył, albo upłynęło sześć miesięcy, odkąd powód o niej dowiedział się, lub trzy lata od jej popełnienia;

3) odmawia środków utrzymania rodziny;

4) opuścił wspólne zamieszkanie bez słusznej przyczyny od roku, albo nawet ze słusznej przyczyny, jeżeli w ciągu roku od jej ustania nie powrócił;

5) dopuścił się przestępstwa hańbiącego;

6) prowadził życie hulawcze lub rozwiązłe, albo nakłaniał powoda lub dzieci do życia niemoralnego;

7) uprawia zajęcie hańbiące lub ciągłe zeń zyski;

8) nałogowo oddaje się pijaństwu lub narkomanii;

9) cierpi na weneryczną chorobę zaraźliwą, dla małżonka lub potomstwa niebezpieczną;

10) cierpi na chorobę psychiczną od roku trwającą;

11) dotknięty jest niemocą płciową bez względu na czas jej powstania; nie można jednak powoływać się na niemoc osób, które ukończyły pięćdziesiąty rok życia“.

Artykuł XII przepisów wprowadzających prawo małżeńskie brzmi:

„Na żądanie jednego z małżonków sąd orzeka rozwód, jeżeli drugi małżonek w czasie okupacji niemieckiej w toku wojny, rozpoczętej dnia 1 września 1939 r. deklaruje na obszarze t. zw. Generalnej Gubernii lub województwa Białostockiego swoją przynależność do narodu niemieckiego, albo podlega wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego na podstawie przepisów ustawy z dnia 6 maja 1945 r. o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów (Dz. U.R.P. Nr. 17).

Podane wyżej wszystkie możliwości uzyskania rozwodu, prawnie zobowiązujące od dnia 1 stycznia 1946, stawiają katolików w Polsce przed koniecznością rozstrzygnięcia o ich przynależności religijnej.

Artykuł 37, zawarty w rozdziale VII, zatytułowanym „przepisy końcowe“ brzmi:

„Przepisy niniejszego prawa nie pozabawiają stron możliwości dopełnienia również obrzędów, wynikających z ich należeń do związków religijnych“.

Wobec powyższego istnieje od 1 stycznia 1946 r. wyraźne rozgraniczenie prawa państwowego od prawa kościelnego, prawa cywilnego od moralnego, pozabawienie tego ostatniego państwowych sankcji prawnych. Zagwarantowane dotychczas sankcją państwową moralne prawo kościelne w zakresie związku małżeńskiego z dniem 1 stycznia 1946 r. po-

zostawione zostaje poczuciu moralnemu obywatela, jego woli i chęci wypełnienia obowiązków, wynikających z przyjętych i wyznawanych prawd i zasad religijnych.

Pozytywne ustawodawstwo państwowe ma z moralnego punktu widzenia ustanawiać normy, poparte sankcjami, dla wykroczeń moralnych, wynikających ze słabości obywateli. Prawo państwowe ma być podporą prawną dla ładu moralnego, ma w zakresie życia społecznego ujmować w ramy nakazów i zakazów te wszystkie przejawy życia, w których upadek moralny stanowi o chorobach społecznych, o upadku moralności społecznej, o krzywdzie wyrządzonej narodowi i państwu.

To jest bardzo proste i bardzo jasne. Nie chcemy powtarzać tych wszystkich wypowiedzi, które przeciw powstałemu w zakresie prawa małżeńskiego stanowi rzeczy protestowały lub protestują. Mamy bowiem do wydobywania na jaw i bardzo mocnego zaakcentowania wiele spraw i wiele problemów, które z głęb-

szego, niż polityczne, wywodzą się źródła.

Chodzi mianowicie o te sprawy, które dotyczą konsekwentnego wyznawania wiary, świadomie katolickiej postawy moralnej w zakresie społecznym.

Wielu katolików z metryki, z tradycji, z przyzwyczajenia, katolików od tradycyjnego chrztu w kościele, tradycyjnego ślubu w kościele i tradycyjnego miejsca na poświęconej ziemi cmentarza katolickiego — wysuwało zastrzeżenia co do nieistnienia w prawie kościelnym możliwości uzyskania rozwodu.

Dla wielu tego typu katolików katolicka nierozzerwalność małżeństwa stawała „konieczność“ zmiany wyznania, wyszukiwania kruczków prawnych, umożliwiających „unieważnienie“ małżeństwa, prowadziła ich do krzywoprzysięstwa, dawała pole do nadużyć moralnych i prawnych, wyprowadzała w konsekwencji haniebną opinię, że za pieniądze można mieć wszystko do „unieważnienia małżeństwa“ w katolickim kościele włącznie.

Stanisław Ziembicki

MATKA

Słowo jak trawkę już ci dawałem najprościej, srebrną cacankę, śpiewną lulankę, po stokroć, ale powietrze nawet aż złote jest od miłości, jeszcze ci powiem, jeszcze ci podam, nie odchodź!

Kupię ci znowu dwie garści ziemi do kwiatów, miast łun, jak róże ponad kolczastym drucikiem i dzień opowiem źródłany taki jak z wiatru i ręce twoje, o franciszkańskie, o ciche.

Opowiem kraj mój, co bielusięki, to o nim, że wzgórze tam są niewielkie bardzo z mych pięści i są też brzegi dwa kochające, brzegi mych dłoni, i wiersze takie, jak ptasie domki, z bólu i szczęścia.

Tam słowo — listek i kielek złoty co świeci, strzegą go bardzo, jak dwie jaskółki, dwie moje brwi, tam mogą chodzić u brzegu dłoni mych wszystkie dzieci, chodzić i klaskać, śmiać się i zbierać kropelki krwi.

Tam ciebie znajdę, dotknięciem serca wywołam, piór niecierpliwych szmerem jak światłem otoczę, kościół przywróce nawołujący i szkołę, świergot pocisku nad moją głową i twoje oczy.

Skrzydła anioła oddzielę lekko od brzozy, która na biało pomalowana dopiero w pół, niósł będę kulę, jak klucz dzwoniący, albo jak osę, łunę podniosę i ręce twoje zakrzepię w ból.

Ty uśmiech podnieś, weź garście ziemi do kwiatów — niech zabieleje pokój gołębiem i niech mi wróci na zawsze łuki twych dłoni jak tęczę światu, na wzgórze pięści już dzieci wchodzą, uśmiechnij...

Teraz ci mówię, teraz ci dawał będę bez przerw, jak wodom obłok i tak jak dziecku zabawka, bo to od ciebie jest struna we mnie, jak złoty nerw. I serce we mnie jak purpurowa truskawka.

Kraków, czerwiec 1945.

Nowe prawo małżeńskie rozwiązuje w dużym stopniu moralny charakter zagadnienia. Wydobywa bowiem i umożliwia istotną selekcję katolików w Polsce. Tak zwana „czystka“ dokona się bowiem nie na rozkaz jakichś ludzkich czynników prawno-nadrzędnych, ale pod wpływem osobistych stwierdzeń, popartych czynem tych wszystkich, którzy do tej pory uważali się i byli uważani za katolików. Sprawy konfesjonau w zakresie małżeńskim przestaną być li-tylko sprawami sumienia — staną się dla wielu ich publicznym wyznaniem wiary lub niewiary.

Istnieje dla katolików w Polsce wiele spraw drastycznych i wiele niedomówionych. Istnieje problem regulowania urodzin, problem dysput konfesjonauowych na ten temat i wyciąganych z nich bardzo często wniosków, zmierzających prostą drogą do życia ułatwionego. Istnieje problem uczciwości społecznej w zakresie wypełniania obowiązków stanu. Istnieje problem cudzołóstwa, dzieci nieprawych, problem spędzania płodu. Wkład społeczny tych problemów stanowi o życiu moralnym i zdrowiu społeczeństwa.

O wielu problemach nie mówiło się publicznie. Obowiązywało milczenie. Były sprawy, których odważny katolicki działacz społeczny bał się publicznie poruszyć. Znane są odmowy redaktorów pism katolickich odnośnie propozycji wszczęcia publicznej dyskusji np. na temat sztucznego spędzania płodu.

Mamy ambicję wniesienia do walki o katolicyzm w Polsce tych akcentów, które spowodują rewizję osobistej i często bardzo prywatnej postawy moralnej katolików polskich.

Żądamy i żądaliśmy rewolucji moralnej. Żądamy wyraźnych stwierdzeń ze strony katolików w Polsce za czym się opowiadają: — czy za pełną laicyzacją ich życia moralnego, czy za prawami moralnymi, które są silniejsze od praw państwowych, gdyż tylko moralność i etyka człowieka gwarantuje istotny ład, prawdziwą uczciwość i właściwy sens wszelkiego życia społecznego i państwowego.

Zamieszczamy w naszym piśmie wszystkie punkty nowego prawa małżeńskiego, umożliwiające uzyskanie rozwodu. Nie lękamy się ich propagować. Podkreślamy nawet treść artykułu XIII, który mówi, że „w ciągu trzech lat od dnia wejścia w życie prawa małżeńskiego, sąd orzeka rozwód, jeżeli małżonkowie po trzyletnim trwaniu małżeństwa zgodnie o to wnoszą“.

Czekamy. Czekamy na ilość rozwodów. Czekamy na zdeklarowanie się katolików metrykalnych i tradycjonalistycznych. Chcemy poprostu wiedzieć, ilu jest katolików w Polsce, chcemy znać liczbę tych, którzy odejdą.

To jest takie proste. Albowiem nie w imieniu społecznej fikcji i społecznej nie wiadomej występować pragniemy. Nie chcemy się podobać tym, którzy w naszej publicystycznej działalności poszukują akcentów koniunktury politycznej.

Chcemy zapewnić istotnych katolików w Polsce, że o ład moralny będziemy walczyć i w prawie małżeńskim, i w populacji, i w życiu społecznym i państwowym, i w tym wszystkim, co stanowi gwarancję i istotę wszelkiego ładu: — w świadomej i konsekwentnej postawie, wynikającej z przyjęcia katolickich zobowiązań wobec jedynie nadrzędnego Prawa Bożego.

Witold Bieńkowski

Andrzej Kozanecki

GWARANCJA POKOJU

NIEMCZYŻNA ŁAKNIE REWANŻU

Minęło zaledwie pół roku od zupełnej klęski Niemiec, a już wiele pisze się i mówi o możliwościach, ba — nawet co gorsza o objawach ponownych narodzin niebezpieczeństwa niemieckiego. Obawy te potwierdzają fakty aktywności pokonanego, które coraz częściej podaje zarówno prasa, jak i „wieść gminna”. Wysiłki niemieckie biegną obecnie dwoma pozornie odrębnymi, w istocie zaś zgranymi torami. Z jednej strony „dobrzy i uczciwi Niemcy” szukają politycznych (usprawiedliwionych „na początek” względami gospodarczej natury) kontaktów z pewnymi kołami zagranicznymi tradycyjnie przychylnie do Niemiec nastawionymi. Z drugiej strony ustawicznie rozrasta się ruch oporu o wewnątrz-niemieckim charakterze. Celem wysiłków pierwszego kierunku pozornie odlegniewającego się od hitleryzmu, jest niedopuszczenie do likwidacji, czy zniszczenia przemysłu niemieckiego, nawet i czenie na jego odbudowę dla „dobra Europy”. Przez podobne zamiary akcja ta stwarza materialne, ekonomiczne podstawy, niezbędne dla powodzenia kierunku drugiego.

Ten ostatni ma w dalszym ciągu zdecydowanie hitlerowskie oblicze. W nim ponownie aktualizują się właściwe typowe dla niemieckiej, tęsknoty Herrenvolku. Słowem — kierunek pierwszy przy pomocy swych „pokojowych” wysiłków, opartych na politycznej i gospodarczej intrydze, służy kierunkowi drugiemu, reprezentowanemu przez „wilkołaków”.

Ta podejrzana analiza prądów przejawiających się w życiu dzisiejszej niemieckiej, doprowadza nas do wniosku, że duchowym motorem odrodzeńczych wysiłków jest wciąż jeszcze hitleryzm, będący najaktywniejszym wydaniem tej historycznej plagi Europy — pangermanizmem. Jest może paradoksem szukanie źródeł siły pangermanizmu właśnie po, zdawałoby się, całkowitym wygranu z nim wojny i przestrzeganie przed niebezpieczeństwem, jakie dla rozwoju naszego państwa niesie jego ewentualny rozwój, jednak właśnie w tym artykule na ten może spóźniony, zdaniem niektórych, temat się kusimy.

Sądzimy, że powoduje nami nie tylko przezorność, ale i konieczność. Istnieje bowiem dziedzina naszego życia narodowego dziś najważniejsza, na którą może być zorganizowane jawne lub ukryte natarcie odradzającego się pangermanizmu. Tym problemem jest sprawa granicy zachodniej i ziem odzyskanych. Znajomość niebezpieczeństwa wprawdzie nie rozstrzyga o powodzeniu w obronie, ale ułatwia ją znacznie. Celem zaś naszej obrony jest zapobiegnięcie wszelkim ponownym próbom renesansu teutońskiego niebezpieczeństwa. U jego podstaw leży:

ZWIĄZEK „RASY” Z TERYTORIUM

Hitleryzm związał naród niemiecki w wspólnotę rasy i terytorium, postanowił spleść krew z ziemią. Swoiste dla niemieckiej połączenie tych problemów, oraz typowa realizacja opartej o nie wiary, wpływało niezmiernie silnie na przebieg stosunków w Europie, często niestety wyznaczając je brutalnie. Związek ów jest jeśli nie całym bogactwem, to bezwzględnie głównym trzonem mizernego i prymitywnego ideologicznie „narodowo-socjalistycznego” wyznania wiary. Jest on zresztą znamienity dla całej historycznej wojującej niemieckiej.

W neopoganizmie Niemiec XX wieku doczekał się jednak szczególnie niepokojącego ujścia. Naród niemiecki utożsamiono z nordycką rasą, wykreślono rozległy obszar, na którym ona jakoś występowała. Terytorium to miało obejmować Niemcy, p.n. Francję, W. Brytanię, Skandynawię, prawie całą Polskę. Większość tych ziem powinna wejść w skład Wielkiej Rzeszy niemieckiej. Mało tego, rzekoma wyższość rasy nordyckiej, jej jakoby niewspółmiernie większa wartość, nakazywały zdobycie przez nią władzy nad pozostałymi rasami, które bądź według bezczynnie, bądź wyrodniejac, rchają ludzkość ku upadkowi

OWOCEM ZWIĄZKU RENESANS PANGERMANIZMU

Wyłączny prymat nordyckiej rasy, w politycznym ujęciu ściśle z niemiecką

związaną, stał się nowym wyłaniem wiekowego pangermanizmu. Uprzednio przewijał się on przez całą historię, zmieniając nieco oblicze i natężenie, jednak w hitlerowskiej wersji zyskując na apetycie, stracił zgoła wszelki umiar, usiłując zdobyć prymat nad Starym Światem, a wpływ na resztę globu. Z naciskiem należy jednak podkreślić, że szczególnie dla nas zawsze był ogromnym niebezpieczeństwem. Każde wydanie pangermanizmu stawało sobie jawnie lub skrycie, mniej lub więcej przezornie, czy cierpliwie, zniszczenie Polski za cel naczelny.

Rasistowska postać pangermanizmu, podobnie zresztą jak wszystkie jej poprzedniczki, kryła w istocie właściwą i niezmienną tęsknotę germańskiej duszy: głód ziemi. Polityka niemiecka jedynie w tym celu przyjęła teorię ras (swoicie ją zresztą interpretując), by przy jej pomocy skrzesać niespotykaną w dotychczasowych wydaniach niemieckiego imperiaizmu, ilość energii narodowej i uzyskać możliwie wielkie wyniki terytorialne. Tendencje te ujmuje jasno Darre oświadczając:

„Sprężynami, które rasę nordycką parły do wędrowania, było szukanie własnej ziemi, która dawała wolność działania i na której było się panem”.

Germański głód ziemi posiada charakter specyficzny; jest on bowiem uczuciem przede wszystkim kolektywnym, grupowym. Dla jednostki nie ma on charakteru nieodpartej konieczności. Jednostka zaspakaja głód do ziemi tylko o tyle o ile jest członkiem kolektywu i w tym stopniu, w jakim jest z nim związana. Dla tego też obserwowaliśmy nieraz ucieczkę osadników ze wschodu Rzeszy na zachód również w okresach jak najsilniej objawiających się aspiracji terytorialnych.

TRESURA ZAPEWNIĄ WŁADZĘ SYSTEMU

Mimo, że opinia nauki, wszelkie racje logiczne oraz widoczne dla każdego fakty z życia godzą w podstawy ideologii, a szczególnie w polityczną teorię ras hitleryzm za wszelką cenę utrzymać chciał efektowny dla mas związek rasy nordyckiej z przeznaczoną dla niemieckiej ziemią.

Zadanie to udało się w znacznej mierze: stworzono mit i rozbudowano gorącą wiarę. Jednocześnie ideał niemieckiej oddalał się coraz bardziej od wszelkiego realizmu, darząc go wstrętem — intelekt przestał być ceniony. Niemcy poczęły się kierować impulsem, tęskniono do silnych, emocjonalnych wrażeń. Fakt ten niesie ze sobą zawsze niebezpieczeństwo dla narodów sąsiednich, nie się je przede wszystkim dla nas. Niebezpieczeństwo to nawet teraz po wojnie nie przestaje być aktualne, bowiem naród, który przyjął pewną postawę uczuciową i jednocześnie stosownie do niej nastawił się w konkretnym kierunku działania, nie łatwo zeń schodzi.

O kierunku tym czytamy w Mein Kampf: „Hamujemy wiecznotrwały pochód Germanów na południe i zachód Europy i kierujemy nasz wzrok na zie-

mie na wschodzie”. Jeszcze jaśniej stawały sprawę wytyczne M. S. Wewn. Rzeszy dla podręczników historii: „Silniej niż dotychczas należy uwydatnić największy czyn niemieckiego średniowiecza: ponowne zdobycie terenów na wschód od Łaby. Tereny na wschód od Łaby stanowiły niegdyś ziemie ojczyście Germanów. W tym czasie Słowianie żyli jako biedni rybacy wśród moczarów Prypeci”.

Miniona wojna aż nadto dotkliwie przekonała nas o tym, że kierunek ten istotnie stał się narodowym drogowskazem niemieckim. Nie ludźmy się, by został łatwo porzucony, wielkość Niemiec jedynie na tym szlaku można wywalić. Jest niepodobniestwem przypuszczać by młodzi Niemcy przestali kiedykolwiek czytać z wypiekami na twarzy Eismarcka: „Gedanken und Evinnerungen”, czy Bühlowa: „Deutsche Politik”, czy wreszcie „Mein Kampf”. Są to bowiem książki ewangeliczne dla niemieckiej. Będą one dopóty aktualne, dopóki istnieć będzie pra i pangermański mit wielkości.

ISTOTA PANGERMAŃSKIEGO MITU

Owieczny mit pangermanizmu istnieć będzie w mniejszym lub większym stopniu zawsze, jest bowiem kwestią wiary. Wiara to specjalna — fanatyczna ślepa i bezkrytyczna. Realizacja mitu posiada wszelkie przejawy bezrozumnego pierwotnego, totalnego kultu. Gdyby był innym — nie byłby mitem, nie byłby żywiołową, nie wytrzymującą wprawdzie chłodnej krytyki, ale tym niemniej wieczną fantazją polityczną.

Fakt nierozumności mitu nakazuje zwiększenie ostrożności i konieczność usilnej troski o uniknięcie zlekceważenia go. Mit będąc bowiem pojęciem wyłącznie emocjonalnym, pozarozumowym, wychowuje typowe kadry swych bojowników, gotowych w imię zmysłowej jego realizacji, zniszczyć wszystko i wszystkich.

O realizatorach tych powiada Weber: „Niemieckie panowanie nad światem jest jedynym celem, który leży przed nami, wszystko poza tym jest bez żadnego dla nas znaczenia”. Ze ślepyim kultem, choćby on był najbardziej prymitywny nie ma żartów. Wprawdzie nienasycona zachłanność, jaką mit dyktuje swym poddanym, pcha niemiecką zawsze do klęski. Ież faktem jest jednak i to także, że każda taką klęskę poprzedzają kataklizmy i nieszczęścia w całej Europie. Wiemy, że zryw ponowny skończyły się dla Niemiec równie przykro, jak ostatni, jednak nieroztropnością byłoby raz jeszcze znaleźć się w położeniu zaskoczonych ową zachłannością mitycznego germańskiego instynktu stadnego, zrodzonego w tresurze i dryllu wieków. Ów ślepy, żądny ofiar i rewanżu mit zerwie może Niemców nawet dość szybko do nowych zmagania. Istotą germańskiego mitu jest bowiem niezmiennie pragnienie podbojów.

OPANOWANIE GRANICY UMOŻLIWIA ISTNIENIE

Mit panowania nad światem zerwać może Niemców do rewanżu jedynie wówczas, jeśli istnieć będą warunki pozornie

korzystne dla jego realizacji. Jeśli tych warunków nie będzie, to pierwszy dorebek energii skierowany zostanie na stworzenie możliwości skutecznego działania. Dlatego też obowiązkiem wykrwawionej i zniszczonej Europy jest uczynić wszystko, co przyczyni się do uniemożliwienia renesansu niemieckiej potęgi. Wierzymy, że przede wszystkim ten cel będzie miała na uwadze konferencja pokojowa. Na czoło zagadnień zmierzających do zapobiegnięcia ewentualnym katastrofom, wysuwa się w szczególności problem polskiej granicy zachodniej. Na tym bowiem odcinku granice odradzających się i pęczniejących Niemiec tradycyjnie będą chciały pękać. Każdy Polak zdaje sobie dziś już sprawę z tego, że granica Polski z Niemcami musi być tak wykreślona, by zapewniała łatwą obronę, by stwarzała gospodarcze i polityczne warunki dla pomyślnego rozwoju Polski, której istotna suwerenność i siła jest jedną z najlepszych rękodziejstw bezpieczeństwa w Europie. Każdego Polaka radością napelnia fakt oparcia o Odrę i Niszę, zdajemy sobie sprawę z oczywistych, bezcennych korzyści, jakie w każdej dziedzinie naszego życia narodowego wnosi obecny sposób wykreślenia granicy zachodniej.

Racje przemawiające za systemem Odry — Nissy, są powszechną opinią społeczeństwa. Zbyt wiele o nich pisano, byśmy mieli je znów rozwijać. Nam chodzi przede wszystkim o podkreślenie tej wielkiej, nie zawsze może przez wszystkich rozumianej prawdy, że samo wykreślenie granicy i upowszechnienie jej idei w społeczeństwie to sprawa jeszcze nie najważniejsza, aczkolwiek cenna. O utrzymaniu granicy rozstrzygnie bowiem istotne obsadzenie i opanowanie ziem odzyskanych, opanowanie wsi przez chłopów gospodarujących na ziemi z poczuciem posiadania jej nazawsze, miasta przez rzemieślnika, kupca, inteligenta. Słowem Zachód musi być zdobyty przez wyścig gospodarczy obywateli, tworzących wartości, powiększające narodowy stan posiadania, obywateli nie powodujących się doraźną chęcią łatwego zysku, wynikającego z niszczenia i szabru. Zachód musi być zdobyty przez ofensywę kultury polskiej, polskiego stylu życia, musi być zdobyty przez książkę polską i polską piosenkę. Dziś na ziemiach tych panuje albo martwość kulturalna, albo utrzymuje swe pozycje kultura niemiecka. Problemy książki, piosenki, teatru, muzyki, stają się szczególnie palące, w tych też dziedzinach spotykamy się na każdym kroku z wytworami kultury obcej. Do osiągnięcia tych celów potrzebny jest jednak nie tylko żelazny wysiłek całego narodu. Musi być on poparty również solidnym i pełnym dobrej woli wysiłkiem ze strony państwa, a w szczególności państwowych funkcjonariuszy i prowincjonalnych organów.

Kwestią naszego istnienia w przyszłości jest wygranie walki z opinią o „szaleństwie” opanowania ziem zachodnich, spotykanej na szczęście wyjątkowo w kraju, niestety często zagranicą. Batalię przeprowadzić musi wydajny w skutkach, gospodarczy, społeczny i kulturalny czyn społeczeństwa, przepojonego miłością swej własnej bezpiecznej przyszłości. Zapewni ją dopiero organiczne złączenie ziem odzyskanych z resztą kraju, likwidacja tej plagi naszego Zachodu, jaką jest psychoza „tymczasowości”, utrudniająca głębokie i trwale zapuszczenie korzeni narodowego istnienia. Granica (o tym winniśmy stale dziś pamiętać) nie jest rzędem pomalowanych słupów, które lada podmuch może obalić, jeśli za nimi czai się pustka i chaos. Granicę tworzy wspólnota ludzi wrośniętych w kochaną ziemię, ludzi złączonych ze sobą wysiłkiem umysłu i rąk, tworzących wspólnotę szaniec trudny do zdobycia dlatego, że na straży każdego z jego odcinków stoi człowiek, znający wartość rzeczy bronnej.

Koniecznością najbliższej przyszłości jest stworzenie faktycznej granicy na zachodzie Polski, poważne braki naszego stanu posiadania musimy usunąć co rychlej, jeśli drogie nam jest słowo — pokój.

Redakcja.

Andrzej Kozanecki

W OKTAWĘ ŚWIĘTA TRZECH KRÓLI

W okresie święta Trzech Króli cały świat katolicki śpieszy śladem trzech władców do kolebki nowonarodzonego Dziecięcia, aby Mu oddać cześć i hołd najwyższy, oraz ślubować wierną służbę. Jest przeto i naszą wewnętrzną potrzebą złożyć nasze najskromniejsze dary.

Pismo nasze określiło się jako katolickie. Znaczy to, że chcemy, aby wszystko w nim służyło utwierdzeniu wiary i nauki dogmatycznej Kościoła.

Pismo nasze nazwało się katolickim i społecznym. Znaczy to, że przyszłość Polski i całą ideologię chcemy oprzeć na prawdzie religii katolickiej. Chcemy z prawd religii katolickiej wyciągnąć konsekwencje ideowe na miarę światowych, rewolucyjnych współczesnych przemian. Chcemy, aby wyzwalane przez nadchodzącą epokę rewolucyjną radykalne siły, służąc Kościołowi Katolickiemu, wzbogaciły społeczną treść katolicyzmu.

Pismo nasze powstało z inicjatywy katolików świeckich i jest redagowane przez katolików świeckich. Znaczy to, że działalność nasza jest prowadzona na własną odpowiedzialność i w niczym nie może angażować autorytetu Hierarchii Kościoła. Jest natomiast naszym zamiarem przyczynić się w dostępnym dla nas zakresie do rozwoju idei katolickiej i zespolenia jej z ideą polską.

Eugeniusz Paukszta

Postawa psychiczna

Okres okupacji, okres niesłychanego bezprawia i okrucieństwa, stosowanych przez Niemców, nastawiał psychikę narodu na konieczność wykrzesania z siebie takiej siły woli, by nie tylko przetrwać koszarne czasy, ale by, będąc zwyciężonym, nie zostać nigdy pokonanym. To było pobudką do szeroko pojętej pracy podziemnej we wszelkich dziedzinach życia, to było zarzewiem do zorganizowanej, czy też luźnej, w przypadkowej ramy ujętej, akcji oporu militarnego.

Moment wskrzeszenia niepodległej państwowości zastał nas psychicznie wyczerpanych. Sześć lat ciągłego napięcia, walki i czujności, pozostawiły głębokie ślady w psychice narodowej. I stąd jako reakcja na skutek przeżyć przebytego okresu, pojawiła się u nas niezdrowa, szkodliwa postawa bierności i wyczekiwania. Konieczność wytrwania zastąpiło pragnienie użycia, chęć powetowania strat z lat niewoli. Idealistyczne podejście do spraw narodu i państwa zastąpił zimny, wyrachowany egoizm. Na wszelkich odcinkach życia dominuje nie chęć żmudnej, zasadniczej pracy, ale dążenie do łatwych, zakłamanych osiągnięć pod osłoną ultra-optimistycznych haseł. Szukanie łatwizn, fikcja i wzniosłość pseudohaseł — to smutny obraz nastawienia psychicznego zasadniczej większości narodu. Miejsmy odwagę otwarcie to sobie powiedzieć!

Miejsmy też odwagę spojrzeć w oczy konsekwencjom, jakie podobna postawa psychiczna narodu może nam przynieść. Nas czeka czyn, czeka działanie. I nieprawdą jest, że już za późno, że nie damy sobie rady, że logika faktów nas obali. My mamy ambicję wielkości. Chcąc budować wielkość, na ludziach małych opierać się nie można. A gdy silnych, wielkich jest za mało? — Trzeba wykrzesać z siebie wolę przeformowania słabości w moc, małość w wielkość. Trzeba zmienić psychikę jednostki, przez nią psychikę mas — by dotrzeć do twórczego, zdrowego jądra, by wystawić tysiące ludzi silnych, mocnych, wielkich. Ci dopiero, wbrew swej wczorajszej małości, stworzą wielkość.

Na działanie, na akcję, na czyn nigdy nie jest, nie może być za późno. Czyn zawsze jest wczesny. Wiele wspaniałych, pięknych osiągnięć, mających dużo szans realizacji — pozostało marzeniem niespełnionym — dlatego, że ci, co mogli dać im fundament, cofnęli się złudzeni fikcją, że już jest „po dwunastej“.

Kardynalnym warunkiem powodzenia realizacji tych, czy innych zamierzeń jest obiektywna ocena rzeczywistości. Obiektywizm ten jest konieczny dla zrozumienia doniosłości najistotniejszego bodaj życiowego zagadnienia naszej państwowości — zagadnienia Ziemi Odzyskanych. Nigdzie bierność, oportunizm, rozsiewanie fikcyj wszelakiego rodzaju, nie znalazły tyle pożywek, co tutaj. Złożyło się na to wiele czynników. Rzeczowa analiza ich dopomoże nam do wyłuskania prawdy, tonącej z jednej strony w nieuzasadnionym peymizmie, z drugiej zaś strony nadształanej przez zbyt ni optywizm.

Warunkiem decydującym o skuteczności pewnej akcji, jest też zrozumienie psychiki grup, od strony dodatniej czy ujemnej, biorących w akcji tej swój udział. Daje to możliwość odpowiedniego kształtowania tej psychiki.

Ludność, przebywającą na terenach Ziemi Zachodnich, możnaby najogólniej podzielić na 4 grupy, różne od siebie postawą psychiczną w stosunku do zamieszkiwanych terytoriów:

- 1) Niemcy,
- 2) Autochtoni polscy,
- 3) Element polski napływowy,
- 4) Repatrianci: a) z za Buga; b) z Zachodu.

Zajmiemy się obrazowaniem postawy psychicznej każdej z tych grup.

Ludność niemiecka w dużej mierze zaskoczona została rozwojem wypadków. Widmo nieuchronnej katastrofy było dla ogłupionych propagandą goebbelsowską mas czymś istniejącym, ale mglistym, dalekim, niekonkretnym. Błyskawiczne postępy ofensywy Sojuszników zdezorganizowały ich i zbyt późno otwarły oczy na nieróżową rzeczywistość. Zrozumienie zaistniałej sytuacji i dziś jeszcze przychodzi

dla przeciętnego Niemca z wielką trudnością. Nie mieści mu się w głowie, że sam może być obiektem metody wysiedlenia, stosowanej przezeń samego w stosunku do innych. Stan faktyczny płacze mu się z jakimś snem, który zaraz się skończy i nastąpi powrót do błogiej „herrenvolk'skiej“ przeszłości. Miraz ten jednak po pewnym czasie znika — nagie fakty są zbyt wyraźne, by można było ludzię się w nieskończoność.

I tu niespokojny, głupawy wyraz oblicza niemieckiego zmienia się w maskę dobrotliwej, niewinnej ofiary nazistowskiego regime'u. Pod nią zaś tai się zaciekle chytry, mściwi żądz odwetu.

Rachuby, na które stawia ludność niemiecka, są nierealne. Podstawą myśli powrotu do niedawnej przeszłości jest wiara w narodziny jakiegoś nowego wodza, w bliżej niesprecyzowane sytuacje, wynikię z jakichś konfliktów międzynarodowych. Nie to zresztą jest ważne. Ważne jest wynikające stąd poczucie tymczasowości obecnego stanu rzeczy, chęć dotrwania za wszelką cenę na miejscu do powrotu dawnych czasów. Dla pozostania na miejscu chwytają się Niemcy przeróżnych metod. Nie wahają się przy lada okazji zmieniać narodowość przez wyszukiwanie jakichś polskich przaprzodków, przez konstatowanie nieuznawanego ongiś pokrewieństwa z Polakami i t. p. Na rękę idzie im tu bezkrytyczny, miękki charakter natury polskiej. Polak, niestety za prędko zapomina o krzywdach mu wyrządzonych, zdobywa się nawet na współczucie i litość. Na tych szlachetnych cechach naszej psychiki narodowej grają niejednokrotnie Niemcy w myśl swoich zamierzeń na drodze legalnej.

Wyraz dobroduszości znika na odcinku pracy podziemnej niemieckiej. Tam nadziewa powrót do dawnej rzeczywistości, chęć okrutnego odwetu, działa jawnie, nie potrzebuje maski. Pożądanie zemsty, to czynnik tu zasadniczy. Podobne stanowisko psychiczne znajduje swój wyraz w bojowych organizacjach terrorystycznych - sabotażowych a la „wiłkołaki“, gdzie zbrodnicze elementy psychiki niemieckiej znajdują w pełni swe ujście.

Wzrasta stale, maskowana potrochu, ale też nieraz i całkowicie jawna nienawiść do Polski i Polaków. Nienawiść ta celowo podsycana jest przez niektóre czynniki Zachodu, kwestionujące do dziś dnia jeszcze sprawę przynależności ziem zachodnich do Polski.

Stanisław Ziembicki

REQUIEM

*Tylko krzyknęła lufa,
pieśń twa nad głową pękła, a
potem cię ogień zdmuchnął,
zabrał na wrzących rękach.*

*I więcej nie zamieszkaś
nawet w chudziutkiej wnęce,
w mieszkaniu, ni na ścieżce
w trumience sypialence.*

*Ziemia cię nie zabrała,
jakkdybyś był ze światła,
wyszedłeś prosto z domu
na cztery strony świata.*

*Czy będzie teraz zimniej
na miejscu które puste,
czy będzie więcej chleba
po rękach twych i ustach?*

*Na tamtych olnach ciepłych
i na chodnikach wokół
niebiecko już zakrzępyły
ostatki twego wzroku.*

*Z tych drzew co blisko rosty
z troszczką mchu i włosów
ptaki do gniazd zaniosty
pasemka twego głosu.*

*I I tylko jak rzecz wieczna
zostaje w ciemnych nocach
trumienka twa z powietrza
co zbywa po twych płucach.*

Warszawa, maj 1944 r.

Wszelkie niedole i niewygody dnia codziennego przygłuszane są przez nienawiść, kierującą umysł jedynie w kierunku jaknajszybszego doczekania powrotu dawnej rzeczywistości. Ułatwione to jest przez brak bezkompromisowej postawy polskiej w stosunku do społeczności niemieckiej.

Jeszcze jeden asumpt do wysuwania hipotezy tymczasowości stwarza obraz oglądanej przez Niemców codziennie pracy nepolonizacyjnej. Obok przeszkód natury zasadniczej, jak to brak transportu, zubożenie kraju w inwentarz żywy i martwy i t. p., widzi Niemiec i wiele niedociągnięć, błędów i przeoczeń, wynikłych już tylko z winy naszych czynników administracyjnych. Przekupstwa, szaber, lekceważenie pracy, brak planowości osiedlania — wszystko to fakty, które ludność niemiecka skrzętnie notuje, budując na nich swe programy odwetowe.

Niezdecydowane stanowisko szerokich rzesz naszego społeczeństwa w stosunku do ziem odzyskanych, łatwa podatność na wpływy propagandy destrukcyjnej, poddającej w wątpliwość pozostawienie tych terenów Polsce — to też wysoka woda na młyn niemiecki.

Pięknie brzmiące hasła i nawoływania o szybkie tempo wysiedlania Niemców z naszej ziemi — przy porównaniu ze stanem faktycznym — wywołują uśmiech ironiczny na twarze „narodu panów“. Czas najwyższy, by czynniki rządzące poprowadziły intensywnie akcję wysiedlenia, z całym wysiłkiem i zrozumieniem szkodliwości przeciągania istniejącego stanu. To pierwszy warunek na drodze do uzdrowienia stosunków na ziemiach odzyskanych.

O ile stanowisko niemieckie jest jasne i w zasadzie konsekwentne, o tyle w umysłach ludności autochtonicznej polskiej panuje całkowita dezorientacja. Sytuacja ludności tej jest rzeczywiście trudna. W zasadniczych podkładach psychiki czujący się Polakami, tak są oblepieni powierzchownym ersatz-lakrem niemieckim, że lada dekret czy ustawa sytuacji tej nie rozwiąże. Decydować tutaj będzie już samo życie, ono kierować będzie zasadniczym postępowaniem w stosunku do miejscowych autochtonów.

Żadne inne chyba zagadnienie ziem odzyskanych nie stwarza tylu trudności, nieporozumień, krzywdzących, niesprawiedliwych ocen i postępów. Bez wątpienia

nia niesłusznym byłoby tu winić za wszelkie błędy i omyłki czynniki decydujące. Winnym tu jest spłot wypadków dziejowych. Ale i postępowanie władz pozostawia wiele do życzenia. I tutaj, w przeciwieństwie do konieczności radykalnie szybkiego wysiedlenia ludności rdzennie niemieckiej poza granice państwa, potrzebne jest spokojne, stopniowe rozwiązywanie tych kwestyj. Sprawy to zbyt delikatne, by można je było załatwiać tak zaraz, od ręki. Tego rodzaju system postępowania za wiele już krzywdy wyrządził, zagmatwał jeszcze mocniej i tak już mocno skomplikowane, a delikatne zagadnienie.

Bo spojrzmy na wytworzoną sytuację z punktu widzenia psychiki autochtonów tych ziem.

Włączenie w granice Polski ziem wydartych jej przed wiekami powoduje (nie mówię, oczywiście, o masie uświadomionych Polaków, walczących przez ciąg dziejów na tych ziemiach o utrzymanie polskiego stanu posiadania) w psychice ludności etnicznie polskiej, narodowościowo niezdecydowanej, „tutejszej“, postawę nieokreśloną, wyczekującą. Widzą ci autochtoni i słyszą pięknie brzmiące odezwy i hasła o sobie, „chlebie i soli“ odzyskanych terenów, o radości Macierzy z ich powrotu, o otwartych na ich powitanie ramionach. Z drugiej strony traktuje się ich nieraz narówni z Niemcami, wyzuwa z ojcowizny, nawet wysiedla z granic Polski. Wywołuje to poczucie krzywdy, żalu i rozgoryczenia, wzmaga niezdecydowanie, wahanie, co z sobą porządek, w którą więc zdeklarować się stronę? Niemiec go gnębił za to, iż uważał go za Polaka, a teraz Polak wyrzuca go z ziemi ojców, ponieważ traktuje go jako Niemca. Kim więc ja jestem? — powstaje pytanie. Dylemat, rzeczywiście, tragiczny.

A jednocześnie obserwuje procesy habilitacyjne. Widzi, iż mało tego że ten i ów rdzenny Niemiec uzyskuje obywatelstwo polskie, ale w dodatku w komisji habilitacyjnej zasiadają częstokroć też jego wczorajsi gnębiaciele znów rdzenni Niemcy. Jakże więc to ze sobą pogodzić? Obok żalu i rozczarowania, narasta stosunek krytyczny do państwa. Bo jeżeli są to wypadki wyjątkowe, a wyjątki takie są nagminne, to jakżeż to państwo ma wyglądać, jakaż jest jego władza, jeżeli na kwiecie tak zasadniczej wagi patrzy przez palce, względnie nie umie im zarządzić?

Kwestia to olbrzymiej miary. Kwestia w dodatku niezmiernie precyzyjna i delikatna. Trzeba tu jak najwięcej dobrej woli, trzeba wyjątkowej ostrożności w postępowaniu. Nie można przecie dopuścić, by wysiedlani stąd jako Niemcy, miejscowi autochtoni, zmuszeni byli aż do zakładania gdzieś w Berlinie, związków, grupujących ludzi polskiego pochodzenia, niegościnnie tak z polskiej ziemi wyrugowanych.

A znowuż jaki nowy kielich goryczy wlewa się w duszę tych Polaków miejscowych na skutek złego traktowania ich przez Polaków przybywających z kraju na te ziemie. Zalił mi się jeden z tych autochtonów, człowiek, który przez całe życie walczył tutaj o Polskę i za Polskę, że wszyscy go traktują jako Niemca, a to dlatego, iż język jego silnie bardzo nasykał niemieczyzną. Walczył o zasadę „Polak Polakowi bratem“ jednej z pięciu prawd Związku Polaków w Niemczech, a tu ten brat krzywdzi go i nie rozumie.

Zbyt cennym elementem państwowym jest ludność ta dla nas, byśmy mogli się jej przez macosze traktowanie pozbawiać. Naodwrot, należy ją otoczyć jak najstarszą opieką, dać możliwie najlepsze warunki bytu, kształcić i pozyskiwać sobie jak najmocniej. Należy się to ludziom tym w pierwszym rzędzie. A pokostu niemieckiego ścierać nie trzeba będzie, wśród braterskich serc bowiem rozplynie się w nicość, w coś, co jakby i nie istniało.

Brak wartościowych kadr wśród elementu napływającego z kraju odbija się fatalnie na sprawie repolonizacji ziem odzyskanych. Kadr tak w sensie odpowiedniego przygotowania do objęcia odpowiedzialnych posterunków, jak i w sensie moralnym. To drugie jest najisto-

niejsze. Człowiek osiedlający się z pobudek moralno - ideowych i tę postawę utrzymujący w życiu, stopniowo wyrobi w sobie odpowiednie kwalifikacje zawodowe. Natomiast jednostka o wypaczonej psychice, przy największych zdolnościach fachowych, będzie tylko pozycją ujemną.

Zespoły ludzi z pobudek ideowych przybyłych na Zachód, ludzi rozumiejących znaczenie ziem odzyskanych dla Polski, bezwątpienia istnieją dosyć liczne. W proporcji jednak do elementu, traktującego swój pobyt tutaj koniunkturalnie, są oni w znikomym procencie. I to jest zasadnicza bolączka ziem odzyskanych.

Niewiara we własne siły, oportunizm, płytkość moralna — z kolei podatność na wrogą propagandę tak wewnętrzną, jak i zewnętrzną — to zasadnicze cechy psychiki większości ludzi, przybyłych na ziemie odzyskane. Cechy te występują tak silnie głównie dzięki dosyć powszechnie panującej opinii o tymczasowości naszego pobytu na tych terenach. Opinia ta rodowód wywodzi z dwóch przesłanek: a) ze sceptycznego nastawienia do własnych możliwości; b) jest skutkiem dosyć uciążliwej negatywnej propagandy tak niemieckiej, jak i anglosaskiej.

Odzyskanie ołbrzymiego terytorium dawnych ziem piastowskich, terytorium przez długie wieki oderwanego od Macierzy, jest faktem, trudnym do przyjęcia dla psychiki przeciętnego obywatela. Rzeczywiście jest to sukces ogromny, o którym się tylko marzyło. Nie dziwnego więc, że realizacja jego w życiu aż oszalała. A obywatel nasz tyle już przeżył gorzkich klęsk i rozczarowań, że poprostu bojąc się ich powtórzenia, z rezerwą odnosi się do możliwości pozostania i zagospodarowania przez nas tych ziem. Jest to psychika małości, którą trzeba zwalczać jak najenergiczniej. N'estety, walka ta prowadzona niedość umiejętnie i energicznie, nie dorównuje kontr ofensywie, prowadzonej tak przez Niemców w drodze legalnej i nielegalnej, jak i przez zainteresowane w zbytnim nieostabianiu Niemiec mocarstwa anglosaskie.

Postawa tymczasowości pociąga za sobą w konsekwencjach dążenie do wyzyskania koniunktury i zarobienia małym wysiłkiem poważnych nieraz sum. To zasadnicza i główna przyczyna szabrownictwa. Morale czasów okupacji ma tutaj też wiele do powiedzenia. Szabrownictwo to jest dwojakiego typu. Różnica cę a la kradzież a defraudacja. Typ pierwszy szabrownika, to poprostu zwyczajny złodziej, który chwytając, co mu lepszego wpadnie pod rękę i wywozi to w głąb Polski, by odsprzedać z hajecznym zyskiem. Drugi typ szabrownika jest już bardziej dystygnowany. Przybysz taki osiedla się na Zachodzie dla widoku prędkich i łatwych zysków. Zaliczyby tu należało i licznych urzędników, nawet dosyć wysoko postawionych w hierarchii, a wysuniętych na dane funkcje z braku elementu bardziej odpowiedniego, dalej przygodnych sklepikarzy i właścicieli większości domów komisowych, spekulantów mieszkaniowych i gospodarzy różnych pokątnych barów i wyszynków.

Dziwi nas nieraz, że osiągnięcia w odbudowie Zachodu są tak skromne. Przyczyną jest negatywny stosunek do pracy, traktowanie jej jedynie jako legalizacji pobytu w danej miejscowości a nie jako podstawy życiowej. Winę tu ponoszą i czynniki zwierzchnie: nikłe stawki płac, i to zaliczane często po kilka miesięcy, istnienie tylko na papierze dodatków zachodniego i osiedleńczego, różne kombinacje przydziałowe i t. p. Ponieważ praca nie daje dochodów podstawowych, chwytają się ludzie szabrownictwa, początkowo by jakoś tylko przeżyć, z kolei już potem przychodzi chęć bogacenia się.

Koniecznością jest wysłanie na Zachód możliwie najszybciej odpowiednich kadr fachowych o nastawieniu ideowym, z kolei wyłączenie szabrownictwa (mamy nadzieję, że uczynią to sądy doraźne) i uregulowanie zagadnienia pracy i płacy.

Na tych podstawach oparta propaganda własna będzie odnosić pozytywne osiągnięcia, a przegrywać będzie propaganda wroga, nie zaś naodwrot jak to dzisiaj się dzieje.

Bezwątpienia, najbardziej twórczym i pozytywnie pojmującym swoje zadania na Zachodzie elementem są repatrianci. Należałoby przeprowadzić podział przy omawianiu psychicznego nastawienia na repatriantów ze Wschodu, zza Bugu — i z Zachodu.

Ludność ewakuowana z za Bugu, pozbawiona w większej mierze dorobku swego życia, rozumie jednak tę konieczność i udaje się na Zachód z pełnym zrozumieniem swej roli. Repatriantów ze Wschodu cechuje chęć pracy, jak najszybszego osiedlenia i po uzyskaniu początkowej pomocy od władz zwierzchnich, mozolnego budowania życia od nowa. Element to wartościowy, specjalnie nadający się do kolonizowania najdalej wysuniętych punktów ze względu na swoją wyjątkową wytrzymałość i odporność fizyczno-psychiczną. Najjaskrawszą ilustracją jest stosunek tych ludzi do rzeczywistości po poznaniu prawdy, jakże odmiennej od słodkich obietnic urzędów ewakuacyjno-repatriacyjnych. Oszołomieni pięknymi hasłami, wszelkimi obietnicami udogodnień i doskonałych warunków życia — wybierają się na Zachód jak do Eldorado. Po przyjeździe spotykają się z szalona dysproporcją hasła i rzeczywistości.

Innych byłoby to załamało. Odporność kresowa nie daje jednak za wygraną. Z zaciśniętymi zębami, ale z nieugiętą wolą staje repatriant zza Bugu do pracy. Pracy w najokropniejszych często warunkach. Wgrzebuje się z chłopskim uporem w tę ziemię, staje się znowu najmocniejszym obrońcą bastionów kresowych Rzeczypospolitej.

Repatrianci ze Wschodu, to w większości ludzie o małej oświacie, ciemni, ale twardzi i stanowczy. Element wybitnie podatny do modelunku, trzeba doń tylko ręk artysty, ręk, które potrafią odczuć psychikę tych natur i je zrozumieć.

Bezwzględnie wyższy poziom kulturalny reprezentują repatrianci z Zachodu. Tutaj też w przeciwieństwie do pierwszych przeważa element miejski. Element to wartościowy, ale mniej twardy i odporny. Łatwiejszy do wykołajenia się, w dodatku zaś zdeorientowany i nastawiony przez propagandę anglosaską dosyć

sceptycznie co do przyszłości Ziemi Zachodnich. Ludzie przybywający z Zachodu wymagają więcej od innych kierowania nimi, a to ze względów, że ciężka rzeczywistość nasza w porównaniu z widzianą na Zachodzie, może ich łatwo załamać psychicznie. Zaniedbać tego nie można, bo ludzie ci stęsknieni za ojczyzną, pragną pracować dla niej, pragną szczerze budować lepsze Jutro.

Od naszego nastawienia psychicznego do ziem odzyskanych, od naszej pracy nad psychiką ludzi kolonizujących nasz Zachód, zależy w dużej mierze przyszłość narodu i państwa. Bo bodaj że kardynalnym, zasadniczym warunkiem ich rozwoju jest kwestia przynależności Ziemi Zachodnich do Polski. To nasze być lub nie być.

Eugeniusz Paukszt

Jerzy Chram Piórkowski

Kapitan Ziuk ze Szkocji

Gdy obmacując zbolały bok, podniósł poraz pierwszy oczy ku gwiazdom, szum motorów Wellingtona był już tylko cieniutkim brzęczeniem na strunie, o której i tak wiadomo, iż musi pęknąć. Wszak wyrok był nieubłagany i tak prosty, jak i los, który jeszcze wczoraj kazał mu oglądać koronkę Waterloo-Bridge, by dzisiaj leżeć na ziemi, która przez tyle lat była wyczekiwaniem i tęsknotą.

Kiedy oczy oswoiły się z ciemnością, ujrzał jak kłębiąca się między drzewami noc, dźwigała linię horyzontu.

Nad nią i nad lasem chodził chorał wiatru. Był jak śpiew o zmierzchu, niezrozumiały, znający tylko echa. Wciągnął nozdrzami wiatr. Głowę miał zwieszoną i bezwładną, człowiek zasłuchany w noc. Tylko ciało pełne gestu człowieka, broniącego się przed skopaniem.

Zamarł w bezruchu. Psiakrew, polska sosna, polski piasek...

Coś odchodziło w dal, w ślad za urywaną struną motogów, coś dawało się i rwało w nadchodzących porywach wiatru. Nie dawała go przecież ani noc, ani wiatr, ani sen. To był fluid tamtych czasów. Rozumiał przecież jasno: odchodził obcy pejżaż Szkocji, malowany przez białość skał, zielen lasów i łąk i niebieskość powietrza i wody. Odchodziła dwuletnia mordęga w Szkole Wywiadu w Londynie, odchodziły obce kobiety ciepłe i pieszczotliwe, a które były dla nich tylko obrazem ich tęsknot i niepokojów serca.

Gdyby ktoś przed nim namalował ten obraz leniwy, kuszący i mówiący tylko o zaspokojeniu zmysłów, zwinąłby go bez wahania w kulę jak papier i wyrzucił precz. Gdzie? W ten polski piasek, w ten cień sosny, polskiej sosny...

Gdy powstał barczysty w ramionach i sercu, myślał tylko o zadaniu. Jeszcze tam w górze gonił go świst containerów. Zaczął wzrokiem obmacywać ciemność.

Na krzakach jałowca, tajemniczych i oślizgłych w mroku bielł się obłok spadochronu. Zaczął go starannie składać, a potem ukrywając w krzakach, ruszył naprzód ciężkim, kołyszającym się krokiem, aby rozpoznać teren.

Kapitan Ziuk był jeszcze młody. Rzeźkość ruchów i jasność naciągniętej na policzkach skóry, mówiła, iż człowiek ten nie przekroczył trzydziestki. Średniego wzrostu, o ruchach kanciastych i zdecydowanych, za którymi kryła się drapieżność człowieka, nawykłego do walki.

A przecież do września 39 roku był zwykłym, przeciętnym urzędnikiem, dla którego sens życia zamykał się w cyklu obrazów łatwostrawnych i nieskomplikowanych. Wystarzał mu kawalerski: po koik na Żoliborzu ze spiewiałym łafciem nad tapczanem, wystarzało 3 godzin pracy systematycznie przyszytej, dzień po dniu, wystarzał warszawski tramwaj. Aleje pełne spojrzeń i uśmiechów i kobieta-wamp Marlina Dietrich, spoglądająca z filmowych plakatów.

Ziuk był jednym słowem systematycznym aż do wyrafinowania konsumentem taniej codzienności.

Polityki nie uznawał. Dopiero po napaści Włoch na Abisynię czuł do faszystwu odrazę. Powoli, dopiero po Austrii, Czechosłowacji narastało przekonanie o bestialstwie faszystwu, które można tylko zdeptać. Próba osmozy — to śmierć,

przyswajanie — to zagłada. W sierpniu 39 roku był fanatykiem wyznania wiary, że ten buchający słup ognia nad dziełami Tomasza Manna, może zapłonąć i nad Biblią.

Wtedy przyszedł wrzesień. Był parny i niespokojny, jak oczy Haliny, rozbiegane po drzewach i niebie tam, w parku. Potem była tylko postać wcisnięta w świeży mundur z mobu i ten pluton ludzi, którymi dowodził, a z którymi miał walczyć i umierać. Bunkry nad Wartą nauczyły go nietylko abesadła „Blitzkriegu“. W czerwonych od łun pożarnych dniach, tworzył się kształt ludzki, którego wyciosywał chrzęst gąsienic na szosach, prowadzących do Krakowa, Warszawy, Lublina. Całe dotychczasowe życie było w tym momencie zapisany w wyblakłe i niezdarnie tomikiem, który należało schować głęboko i wstydliwie tak, jak tomik młodzieńczych i niezdarnych wierszy.

Ten tom, który zaczął pisać Bóg i Historia 1 września, mówił o nim jako o statystycie, który ma prawo istnienia do czasu. Działał tutaj imperatyw, którego genezy nie przeniknął nikt, tak jak i nikt nie pojmował mechanizmu działania.

Bezwolny Hiob — to był śpiew milionów.

I gdy pewnego dnia ujrzał ludzi oszalałych z trwogi, rzucających hełmy i broń pod ogniem nurkowców i czołgów czuł, iż to jest dopiero prolog sztuki, w dodatku kiepsko zagrany. Potem ciągle pod ogniem odwrót aż hen pod Lwów, przełęczę gór i obóz jeniecki. Nie wytrzymał długo. Przy pierwszej sposobności wylądował we Francji. Tam znów ten sam niezdarny prolog, uwieńczony jeszcze hańbą zdrady. I gdy wreszcie, strzelając naprzemian to do francuskiej, zdemoralizowanej fuszki, to z granatami przebijając się przez fale niemieckiej piechoty i czołgów, stanął na bretońskim piasku i wydał rozkaz załadowywania do łodzi resztkę plutonu, dziesięciu ludziom szkieletom, lewa ręka cała była we krwi, przesiąkłej przez brudne szmaty bandażów. Niebo szumiało od nurkowców, ziemia — od bomb.

Potem Londyn i pierwsze spóźnione kwiaty, na które chciało się żyć.

Dał to już była taśma kinematografu: odkomenderowanie, awans, szkoła, sylwetka Wellingtona wrosła w noc i teraz ta ziemia, ten piasek...

Zaklął głośno, potknąwszy się w ciemności. Przecież światła rozpoznawcze tam, w górze, były zupełnie wyraźne. Może pilot przegapił?

Drzewa rzędziły, na powieki wschodziła przestrzeń, która rychło rozjaśniła cienie. Gdy wychodził z za ostatnich pni, poczwanych w cieniach i konturach, dobiegł go ściszony przez wiatr i szum drzew, śpiew.

Był tak daleki i szarpący serce tęsknotą, jak i on sam, schylony wśród polskich sosen dla tamtego życia z przed dwunastu godzin.

Gdzie eta ulica, gdzie eta dom, Gdzie eta barysznia, szto ją lublu...

Za gardło chwyciło najpierw zdumienie, a potem niepokój, zrodzony z nieświadomości. Teraz ujrzał wyraźnie w nocnym świetle głębokie cienie baraków i migotliwe błyski przyćmionych światła.

W ciszę buchnął strzał niespodziewany i obcy, a potem słyhać było tylko wysoki, obcy głos. Piosenka zamikła jak i przysła, w dali. Od ziemi szedł chłód nocy. Gwiazdy były niezmiennie i płonęły bez migotań. Oparł się plecami o drzewo. Poprzez odzież wyczuwał chropowatość kory. Niewiadomo dlaczego pierzchył usta. Teraz wiedział napewno, że lotnik tam, w górze, przeoczył i że te majaczące o kilkadziesiąt metrów przed nim cienie — to rosyjski obóz jeniecki pełen śmierci i ludzkiej tęsknoty. Refleks światła, jarzący się w noc był wtedy, jak zduszony krzyk człowieka, któremu knebłowano usta, i słyhać tylko rżący szloch rozsadzanych płuc. Zaczął powoli obchodzić migot światła. Krzaki jałowca, sprężyste i gibkie, były po łydkach i ledźwiach. Ziemia ożywała pod stopą i patrzyła na gwiazdy szklivem zważonej przez nocny mróz trawy. Ale tylko wtedy, gdy księżyc odsłaniał swój poblady, lisi pysk, a obłoki rzędziły i stawały się przezrocyste jak welon.

Wtedy to splywała cichość ukryta w zimnych strugach księżycowego światła, słowa marły ludziom na wargach i był tylko niepokój i drapieżny, nawykły do krwi i walki człowiek. Mimo chodem dotknął wzrokiem ziemi. Ujrzał pełny, błyszczący kształt. Containery. Odczepił łopatkę. Zaczął kopać. Nowy, silniejszy podmuch wiatru przyniósł jasny, odżyły głos. Wstrząsnął się. Głos rozdzierał powietrze i serce:

— Sibir, Sibir. Sibiru nie bojejsja...

Ale głos był już jękiem i zawodem, podobnym do skargi ptaka ze złamanymi skrzydłami. Niedosiężne echa łowiła ciemność.

Ziuk zrzucił skórę i z drobnymi, mimo chłodu, kropelkami potu na czole, kończył kopać. Ciężko, z wysiłkiem zsuwał srebrzysty kształt w dół. Czuję, gorączkowo pracując, miarowo pulsujące, sprężyste mięśnie grzbietu. Potem starannie zakrył miejsce wykopu darnią i zarzucił gałęziami.

Gdy wychylił się z ciemności konarów i pni, było przed świtem. Gwiazdy jedne po drugich rozplywały się i nikły — lampy, trafiane przez pocisk. Leniwie rzędziła noc, akwarela rozjaśniona światłem działania wody. Światlistym, choć skąpym strumieniem, wlewał się dzień. Od pół szedł wiatr. Spojrzał na horyzont przyczajony i nieznan.

Tam była północ, tam było miasteczko J. Tam był rozkaz.

Gdy przechodził skrajem, omijając obóz, z ziemi szedł zduszony zapach budzących się ziół i kwiatów. Ziuk oddychał pełną piersią. Z każdym krokiem, z każdym oddechem płuc trzeźwiał, wstał silniejszy, twardszy, mocarny. Z każdym krokiem przypadał do tej ziemi — wieczystej, piegrzym, doznający objawienia: Przecież była jego.

Brakło czasu na przeciągły skurez serca, któryby mówił: Ołom Twój...

Drzewa wrosłały w pobielaną noc smukłe i pełne tęsknoty. Szedł zapach dnia, który był dla niego zapachem światła. Gdzieś nad polem z za ciemnej kreczy widnokrepu dobiegał cieniutki, goniący już tylko echemi, gwizd lokomotywy.

I Myślał: Ojczyzna...

W ustach czuł słodycz, choć nie było krwi...

II.

Kapitana Ziuka spotkałem późno, bardzo późno. Był to właśnie początek powstającego lata: czerwiec. Na plażach warszawskich pełno było ładnych kobiet. Młodzi chłopcy w żołnierskich butach zaczęli przenosić broń na punkty pogotowia.

Pawiał w tych dniach był spiekły słońcem, więźniowie mieli popękane usta, brakło wody.

Ziuk leżał tuż przy mnie na łóżku w więziennym szpitalu. Z rana, gdy się budziłem, pierwsze spojrzenie padało na jego twarz. Była już ziemista. Z nad niej wyrastały kępki odrostłych, kruczych włosów. Ziuk miał profil silnego człowieka. Dobrze rozwinięte czoło, prosty nos i wydatny, uparty podbródek. Dopiero, gdy się obudził i obrócił się do mnie, widziałem oczy, które zaprzeczały wszystkiemu. Z początku był w nich tylko blask, który wszystkich oślepił i zniewalał, zacierając wyrazistość rysów. Były to oczy człowieka, który wie, jaki jest kres drogi, a przecież pozostaje jej wierny. Światło to nie zagasło, chyba nawet i wtedy, gdy umierał pod czerwonym murem ghetta. Sam — wychudły i zczerniały mnich o drapieżnej, choć bezsilnej sylwetce.

Cela posiadała stosunkowo duże, zakratowane okno, przez które wpadały świetliste smugi winorośli, oplatających mur więziennego szpitala. Brudnoziemiste ściany i łóżka były formalnie zasiane pluskwami. Godzinami łowiliśmy je, rozgniatając przez papier.

Naprzeciw okna — niskie, okute drzwi z judaszem. Łóżka stały w dwóch rzędach pod ścianami.

Leżałem pod samym oknem, tuż obok mnie Ziuk, po przeciwległej stronie młodziutki, 17-letni Walewski w spazmowym, zdyszczym oddechu płuc próbujący śpiewać. Miał tak, jak i ja, przestrzelone płuco, głos rwał się co chwilę, a przecież harkotem dyszaliśmy w jasność letnich płam słońca na podłodze.

— Po powrocie ofiaruję ci
Z mej manierki ten cud
Rybkę ze słonych wód,
Lub korale z mej krwi.

Konrad leżał tuż przy drzwiach i pierwszy gwizdał, gdy słyszał ciężkie kroki Wachmeistera pod drzwiami na korytarzu. Wachmeister o dziwnym i całym swoim nazwisku Piecyk, był Ślązakiem. Od czasu, gdy chłopcy „zrobili“ Bürckla, jego szefa, przestał wybijać zęby i kopać. Miał ciężkie i zgrubiałe rysy twarzy. W Führera wierzył nawet w tych dniach, gdy czołgi sowieckie wchodziły jak w masło, w rozbite dywizje niemieckie.

Alarm był przedczesny. Piecyk przeszedł. Konrad zrobił przyzwalający gest. Ale Walewski już nie zaśpiewał. Dusznosc napłynęła każdemu do gardła. Właśnie teraz, do 11-ej brali na „rozwałkę“. Właściwie nie bali się, raczej pragnęli szybkiego końca. Wszyscy byli przecież wzięci z akcji, wszyscy wiedzieli, że z drzwi może przyjść tylko śmierć Wachmeistera Piecyka wejdzie skrzypiącym krokiem na środek celi, ciężko, twardo, jakby rozbijając bryłę, wymówi nazwisko, a potem powie, patrząc wyklakłymi oczyma w przestrzeń:

— Zabieraj wszystkie rzeczy, jesteś zwolniony...

Starzy więźniowie wiedzieli co to znaczy i ponuro, w milczeniu patrzyli na gorączkowe ruchy i rozbitą oczy nieświadomego Ziuka powiedział mi o tym zaraz pierwszego dnia.

— Wiesz, on idzie „na czapę“.

Ziuk właściwie to całymi godzinami opowiadał:

O Londynie, o kolegach sukinsynach, którzy woleli Hyde-Park od polskiego piachu i sosny i teraz rozbijali się z laleczkowatymi ladies po londyńskich dancingach i berach, o ostatniej premierze „Przemięło z wiatrem“, o wspaniałym renesansie Marleny Dietrich.

Wtedy śmierć odchodziła spod drzwi, pod powieki zaglądał daleki, obcy świat.

A potem monolog o tej cholerniej tęsknocie za polskimi sosnami, która go zaprowadziła aż tutaj, na śmierć.

Głos był zmatowiały, chwilami zgrzytał, jak kamień po szkło. Wtedy biła rozpacz, bezradna, jak skowyt psa, a przecież świadoma rezygnacji

Kraj. Kapitan Ziuk pracował w II Oddziale Armii Krajowej. Jakżeż on mówił o tych wspaniałych dniach, tygodniach, miesiącach, które były jednym kalejdoskopem Wielkiej Gry. Ziuk swoim działaniem obejmował rejon portów bałtyckich. Szczecin, Gdynia, Gdańsk i Królewiec. Drobiazgowa, koronkowa robota. Misterna, starannie dziergana siatka łączności... Swoi ludzie w biurach, fabrykach, dokach, bazach. I wszędzie śmierć i wszędzie napisy — olbrzymie plakaty „Feind hört mit“. Ziuk stąpał tutaj ostrożnie, jak dziecko, żył tym, był fanatykiem nietylko celu, ale i zadania.

Z tych informacji i danych, dostarczanych przez Ziuka, wyrastały potem wybuchy bomb sowieckich, bombardujących porty bałtyckie. Ileż to razy dostał od referenta na Szucha. Dostawał on szalu na samo wspomnienie o tym Wiedzieli dobrze, iż informacje Ziuka via Londyn otrzymywała Moskwa. Ziuk spokojnie, metodycznie wypływał zęby, a potem z mściwym, radosnym uśmiechem, słuchał nocą warkotu sowieckich bombowców, atakujących kolejowy węzeł warszawski. Po przeszło rocznej pracy Ziuk „wpadł“. Został rozpoznany przez agentów Gestapo na rogu świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, gdy chciał wejść do tramwaju.

5 minut stał pod ścianą P. K. O. z rękoma do góry, by potem jednym, starannie trenowanym w szkole chwytem obezwładnić przeciwnika i zbić go z nóg. Już biegł. Wiedział. Na Moniuszki —

przechodni dom. Na samym rogu wyrosła potężna sylwetka „łodziarza“. Znała go cała Warszawa. Istna góra mięsa, kierująca ruchem na rogu Nowego Świata i Alej i masakrująca pod lada pozorem przechodniów.

Z „Parabellum“ żygnął płomien raz i drugi. Ziuk leżał na rogu z przestrzelonym płucem. Krwotok. Wielka rdzawa plama krwi na trotuarze.

Potem znów rwącym głosem zaczął mówić o nocach i dniach na badaniu w Gestapo.

O chytrych, świetlistych oczkach referenta. O biciu pięścią, pejcem, przyciskiem ze stołu, krzesłem, o kopaniu w podbrzusze, o stawianiu na piersi.

Gdy im powiedział, ile dostawał miesięcznej gaży, referent zaśmiał się i mrużąc oczka zapytał, czy wie, ile miał jego przełożony.

Wiedział! Niemiec przeciągnął się, a potem bębniąc krótkimi, tłustymi paluszkami w biurko, zajazgotał:

— Ja, ja, Joseph, du bist ein Idealist. Nicht wahr?

Ręka objęła leniwie pejcz leżący na biurku. Podszedł jeszcze bliżej, niemal twarz w twarz. Lewą rękę trzymał w kieszeni.

Ziuk wiedział: na spuście. Czerwoną, rozdętą twarzą i rybimi oczyma wionął niemal w twarz.

— Nicht wahr, Joseph? — powtórzył chrapliwie. Potem podniósł pejcz i bez zmużenia powiek uderzył po twarzy.

Raz, drugi, dziesiąty.

Jednego nie wiedzieli na Szucha. Ze, aby dorobić na życie, Kapitan Ziuk codziennie pierwszym tramwajem przewoził 10 litrów bimbru z Brudna na Żoliborz... Zarabiał 10 zł. na litrze. Właśnie w tego żył. Czy czuł gorycz i żal? Nie. Przecież wiedział, za co umiera.

Na Pawiaku najgorsze były świty.

Za oknem blakła noc. W ciszę splecioną tylko od naszych oddechów padały salwy. Liczyliśmy. Wiedzieliśmy, iż rozstrzelują po pięciu.

Skrzypiały łóżka. Walewski przewracał się z boku na bok. Ziuk zerwał się i w koszuli podszedł do okna. Z murów ghetta szedł w niebo czerwony blask. Potem było coraz jaśniej i z za poczwarnych zwałów gruzu strzelały języki płomieni. Ciężki, skłębiony dym wdierał się do celi i tamował oddech. My liczyliśmy chmury na niebie i szeptaaliśmy. Ziuk stał przy oknie. Padały jeszcze ostatnie pistoletowe strzały. Dobiłano.

Z kuchni dym szedł gładki i prosty. Funkcyjni więźniowie roznosili kotły z dymiącą kawą. Ziuk milczał, milczeliśmy i my. Mówiło niebo.

W dwa dni potem Ziuk poszedł pod mur ghetta.

Gdy wychodził „Szturmowniki“ już uganiały się nad Warszawą. Co nocy wisiły nad miastem rakiety. One były jedynym wielkim płomieniem nad jego śmiercią.

Chyba, że liczyły się nasze oddechy i serca.

Jerzy Chram Piórkowski

Eugeniusz Szermentowski

MOJA KOLEKCJA

(Druki, autografy, dedykacje, książki i wspomnienia)

1.

CZY JESTEM CHCIWY.

Długo wiedziałem, że jestem chciwy. Prof. Witwicki bowiem w swojej „Psychologii“ powiada, że kolekcjonerstwo jest pewną postacią chciwości. Szczęściem zaraz dodaje, że „potrzeba gromadzenia prywatnych zbiorów zawiera w sobie także inne dyspozycje“. Jakież to inne dyspozycje rodzą skłonność do gromadzenia znaczków pocztowych, lasek, obrazków, starych sreber, czy pudełek od zapalek? A więc — powiada Witwicki — potrzeby estetyczne i intelektualne, chęć dorównania innym (więc zapewne snobizm lub pycha?). Główny nacisk jednak kładzie tu autor na moment posiadania. „Zbieraczowi nie wystarcza oglądać piękne okazy w zbiorach cudzych, czy na wystawach... on je musi s a m posiadać na własność choćby ich nigdy potem nie oglądał“.

Interpretacja ta nie wydaje mi się słuszną. Czy pieczeniarski Pons u Palzaca jest chciwy? Albo czy chciwy jest w „Zbrodni Sylwestra Bonnard“, książkę Dymitr, objeżdżający Europę w poszukiwaniu nowych pudełek do zapalek? Nie sądzę. Marksistowski historyk literatury, Fr. Schiller, w swojej „Istorii zapadno-jewropejskiej literatury nowo-wremieni“ (Goslitizdat, 1937) powiada że książkę Dymitr kolekcjonuje pudełka od zapalek po to, żeby „zabić czas“. Sam France dobrotliwie ironizuje w powieści zarówno nad sobą (respectively nad Sywestrem Bonnard), zbieraczem rzadkich druków, jak i nad kolekcjonerem pustych pudełek. Ale ironia nie wyjaśnia nam jeszcze tych szczególnych skłonności. Niewątpliwie, kolekcjonerstwo jest chyba najskrajniejszą formą poczucia własności. Kuzyn Pons, umierając, będzie jeszcze bronił swojej galerii i raczej z głodu umrze, niż się pozbedzie jakiegokolwiek obrazka.

W rozważaniach swoich o prawie własności powiada dalej Witwicki, że materialistyczny pogląd na dzieje nie dopuszcza wogóle innej pobudki w działaniach ludzkich, jak chciwość. Ja sam przypuszczałem do niedawna, że w Rosji kolekcjonerstwo, jako przejaw wyaskrawionego poczucia własności zostało wyteplone. I oto ku wielkiemu mojemu zdziwieniu przekonałem się, że to nieprawda.

Zaszedłem do antykwarium, gdzie przy ładzie zastałem oficera radzieckiego, który oglądał stare srebra. Interesowały go wyłącznie antyki. Wdałem się z nim w rozmowę, gdyż zadziwił mnie

potrosze to upodobanie. Oficer ujawnił dużą erudycję, przyznał się że kolekcjonuje stare srebra i obrazy. Jaktó, zawołałem zdumiony, w Rosji są zbieracze! Wyjaśnił mi, że mnóstwo ludzi kocha się w Rosji w antykach, że ceny tych rzeczy są tam ogromnie wysokie, że on sam skupuje, gdzie może. W Rosji istnieją wprawdzie tylko rządowe sklepy antykarskie, ale powodzenie mają ogromne. Upodobania oficera tego powstały od czasu, kiedy odziedziczył po ojcu rysunek Riepina z własnoręczną dedykacją. „A więc nie ma już w Rosji socjalizmu!“ — zawołałem żartobliwie. Uśmiechnął się i objaśnił mi, że kolekcjonerstwo nie koliduje z doktryną materializmu historycznego. Bądź co bądź, zjawisko to wydało mi się znamienne dla ewolucji, jaką obserwujemy w Rosji, jak również sprzeczne z panującymi u nas poglądami, że wykorzeniono tam w ludziach całkowicie instynkt posiadania.

Więc nie chciwość jest źródłem kolekcjonerstwa. Zachodzą tu inne całkiem kryteria. Więć, przede wszystkim, przedłużenie, czy powiększenie osobowości, pogłębienie indywidualizmu, metafizyczny popęd do utrwalenia i przedłużenia jaźni, zwiększone poczucie mocy, wynikające z woli mocy u ludzi, wreszcie mogą tu zachodzić: snobizm i pycha. Ale nie koniecznie i nie u wszystkich. Trzecioklasista z respektem i z zazdrością odnosi się do kolegi, który ma w złorach Nową Zelandię z tygrysem, a właścicielowi tej Nowej Zelandii imponuje znowu koleżka, co miał szczęście dostać jakieś rzadkie Kongo. Co do mnie, z pobłażaniem przyglądałem się kolekcji lasek i kijów, którą z dumą pokazywał przyjaciel mój, S. I. Witkiewicz. A oto inna kolekcja. Wyobraźcie sobie kilka grubych foliałów, w które powklejano setki i tysiące pustych, kolorowych kopert od... żyłek z całego świata. Zbiór ten oglądałem przed wojną u sympatycznego muzyka, prof. Romana Jasińskiego Sami osądźcie, czy można go na tej podstawie pomówić o chciwości, jak się tego domaga nasz znakomity psycholog.

II.

STARE DRUKI

Ocalały szczątki. Przepadł frak ocalała muszka frakowa. „Wyszabrowano“ maczynę do pisania, ocalała gumka.

Zacznijmy od strychu. W okutym żelazem kufrze od lat spoczywa, czekając lepszych losów, paczka zawinięta w starą gazetę. Korespondencja z końca XVII i XVIII wieku. Bazgroły Radziwiłła Pa-

nie Kochanku, Lubomirskich, Szoldrskich, Sanguszków.

Bóg jeden wie, jakimi losów kolejami znalazły się w moim kufrze.

Imię Perkowski prosi imię Kamińskiego o sąsiedzką przysługę: „JWielmożny Mści Dobrodzieju! Częścią z kondolencyi z Wyroków Boskich nad śmiercią żony mojej recenter z tego świata zeszy, częścią z pracy w defektów dawnych in Summam debilitatem zdrowia, temi Dniami wpadłem. Suplikuję WWSP Pana Dobrodzieja chciej mie przewidować o drobina Sadła Niedźwiedziego. Wyświadczoną Łaskę w każdych Jego Pańskich Rozkazach pełnić zabieram mocną Obligacją, a teraz z Nayniższą adoracją całując Nogi Jego Pańskie piszę się WWMP Pana Dobrodzieja Nayniższym Sługą. Z Klewania 19 octobris 1756“.

Bazgrząc jak nieboskie stworzenie, zwraca się w innym liście z 3 Jenuara 1758 Z. Księżna Radziwiłłowa do brata, Sanguszki, aby zechciał „w przyszły czwartek swoim darować Prezenty y, wraz z nią do Krztu Świętego przypro-wadzić raczył neofitę świeżo z JWPani Elżbiety z Rejów Hrabiny Krasickiej narodzonego“.

W innej znów epistoli U. X. Radziwiłł, koniuszy W. X. L. tak oto powiadamia jakiegos Imci Pułkownika o rezultatach łowów:

„Z nieskończoną Obligacją dziękuję WWMP za akkredytowanie Sjeci, tak teraz one in toto odsyłam. Mielibyśmy moi Chłopi nieznający Subordynacyi na złość mi przez sjeci nje wypuszczali, a to tylko kozła ubili, lisa, y sześć zajęcy, z tych sześciu zajęcy cztery się nam dostały, bo dwa zajęce psy w knjei rozerwały, y jednego także rozerwały Rogacza. A teraz Łasce sje jego oddawszy, z głęboką piszę się Submisją WWMP. Kochanego Brata y Dobrodzieja Nayniższym Sługą M. X. Radziwiłł, koniuszy W. X. L.“.

Magnateria nasza w epistolografii najchętniej posługuje się sekretarzami i skrybentami. I nie dziwota. Bo sądząc z podpisów, nikt by tych kulfonów odcyfrować nie był w stanie.

Niewiedzieć skąd, zaplątał się tu jakiś numer „Gazety Codziennej Narodowej i Obcej“. Piątek, dnia 14 maja 1819. Na początku zaraz te same troski, co i dzisiaj: „Wisła wezbrała w noc 11 bm. i blisko pięciu łokci nad zwyczajną wysokość, podniosła się. Most uszkodzony nieco został, przez tratwy drzewa pędem wody uniesione, ale komunikacja między,

Warszawą a Pragę ani na chwilę przerwana nie była.

Wiadomości zagraniczne. Anglia. Z Londynu, 23 kwietnia (wiadomość eo ipso szła trzy tygodnie): „Ostatniego poniedziałku przybyli tutaj z Rzymu X. Bonavita, Doktor Viglioli i Profesor Antomarchi, którzy jak wiadomo mają zamiar popłynąć na wyspę św. Heleny i wejść tamże w służbę Bonapartego.

W tej samej korespondencji inny fragment dotyczący nadzwyczajnego rozwoju motoryzacji w Anglii:

„Jak wiadomo, przechodzą Anglicy wszystkie narody w naśladowaniu obcych wynalazków i wydoskonalaniu tych-

że. Tak na przykład, wydoskonalili teraz Niemieckie Drezniki, czyli tak zwane Velocypedy: jest to wózek, wyobrażający konia na kołach, na grzbiecie znajduje się obszerne schowanie na chłodniki, suknie i t. p. rzeczy. Na takiej więc Dreznicy może ojciec z całą rodziną wyjechać, i bez kosztu przechadzkę odprawiać.

W paryskiej Izbie Deputowanych p. Benjamin Constant „z zwyczajną sobie wymową“ referuje wniosek do ustawy o wolności druku. W głosowaniu atoli pokazało się, mimo tak wymownego głosu Pana Constant, „że stronnictwo Ministrów daleko jest mocniejszym“ i projekt ustawy o wolności prasy bierze w łeb.

I ostatnia wiadomość statystyczna: Ludność Paryża w roku zeszłym wynosiła 713.966 Dusz“. Jako wydawcy odpowiedzialni podpisują gazetę pp. Hrabia Kiciński i J. Morawski.

A to co znowu? Twardy pergamin. Allegaty i manifesty „My z Bożej Łaski Mikołaj I-szy Cesarz i Samodzierzca Wszech Rossyi etc. etc.“ i „z Bożej Łaski My Alexander I-szy Cesarz i Samowładca Wszech Rossyi etc. etc.“. I listy: cesarzewicz Konstanty do Mikołaja, cesarz Aleksander do Konstantego, Konstanty do matki-Cesarzowej, Mikołaj do Konstantego. Lata 1822 — 1825. Abdykacja z tronu Konstantego. Po śmierci

Aleksandra I obaj pozostali bracia bawili się Rosją, jak w piłkę. „Pendant quinze jours on joue la couronne de Russie au ballon, en se la renvoyant mutuellement“ — pisał ówczesny poseł francuski w Petersburgu.

O oto coś z tej samej materii. Urzędowy „Opis szczegółowy wypadku zdarzonego w Petersburgu Dnia 14/20 grudnia 1825“. Spisek Dekabrystów w rządowym oświeceniu. Nazwisko głównego spiskowca w tej relacji wydrukowane błędnie: dziennikarz Billów (zamiast Rylejew). Dokument podpisany przez generał-adianta Potapowa.

Eugeniusz Szermentowski

Wśród książek

Kalendarz Warszawski na r. 1946.

Rocznik poświęcony Warszawie, cierpiącym i bohaterstwu Stolicy, Warszawa wczorajszej, dzisiejszej, Warszawa jutrzejszej. Warszawa — Kraków — 1946. Wydawnictwo Zarządu Towarzystwa Gniazd Sierocych. Str. 254 — VIII. Cena 160 zł.

Pozycja wydawnicza bezwzględnie cenna. Warto ją poznać, warto mieć. Specjalną wartością „Kalendarza Warszawskiego“ jest zbiór dokumentów fotograficznych, obrazujących w sposób dobitny zbrodnie niemieckie popełniane na Warszawie i jej mieszkańcach. Dział ten podaje nieprzypadkowo zebrane, makabryczne w swej grozie, akty egzekucji zbiorowych, łapanek młodzieży, tragedię ghetta warszawskiego, wycinki tych czasów, które były przez wiele miesięcy udziałem mieszkańców Warszawy. „Warszawa oskarża“, „Dokumenty terrorku niemieckiego“, „Wrzesień 1939 r.“, „Aleja Szucho“, „87 miejsc kaźni w Warszawie“, „Warszawa na ziemi i pod ziemią“, „Atak czołgów“, „Ostatnie chwile zranionej miasta“, „Egzekucja w Alejach Jerozolimskich“ — to rozdziały składające się na tę wartość „Kalendarza Warszawskiego“, która jest dokumentem dla każdego domu i każdej warszawskiej rodziny.

Są i braki. Braki nie małe. Obecny wygląd Stolicy daje naprawdę wyjątkowo „Kalendarz“ prawo do specjalnego podkreślenia martyrologii Warszawy. Nie uwalnia ich jednak od obowiązku równie dokładnego i wyrazistego zobrazowania walki Warszawy, jej zwycięstw i jej uśmiechów. Z obowiązku się nie wywiązano. Czy dwa opowiadania: — „Pestka“ i „Jedenastka z Czerniakowa“ mają starczyć za wszystkie dokumenty przeszło pięcioletniej walki z niemieckim okupantem? Walki niepozabawionej zwycięstw? A gdzie rozdziały mówiące o wolności Warszawy? Gdzie podkreślenie, że mimo terrorku Warszawa była miastem wolnym, niezależnym, stolicą wspaniałego, wolnego i w duchu niepodległego państwa? Czy słabo dobrane warszawskie dowcipy w czasie okupacji mają zastąpić jeden wielki, wspaniały pean o wiecznym wolnym Miście wolnego Narodu?

Nie chcemy być zbyt drobiazgowi. Wydaje się jednak, że opowiadanie o Pawiaku, zatytułowane „Serbia“, jest naprawdę wynikiem nieporozumienia. Czy naprawdę tak wyglądał Pawiak? i czy naprawdę tak nędznie i tak małostkowo, tak nudnie i tak płasko, tak źle i tak nieprawdziwie, wyglądał oddział kobiecy na Pawiaku — „Serbia“? Są przecież wspaniali ludzie, którzy po kilka lat spędzili na męskim i na żeńskim Pawiaku. Są ci, którzy byli świadkami wieklich, bohaterkich cierpień takiej Elitki Krajewskiej, cudownej pracy strażniczki Lusi Uzarownej i tysięcy innych, których nazwiskami i opisaniami polskich czynów zapewniłoby można kilka tomów „Kalendarza“.

Kalendarz trzeba posiadać i trzeba go przeczytać. Trzeba mu wybaczyć usterki. Bo naprawdę nie one świadczą o wartości wydawnictwa. Wartością jego jest przede wszystkim to, że potrafi przywołać do pamięci dni przeżyte, potrafi zmusić do wspomnienia dni heroicznych, potrafi wreszcie wydobyć na jaw wszystkie już usypiające i wiele już zamglonych spraw, które stanowią o rytmie serca Warszawy i serc naszych.

Władysław Rymkiewicz — „Ludzie bez jutra“. Powieść. Wydawn. Eugeniusza Kuhtana — Warszawa, 1946 r. Str. 285.

Panowie Sylwester i Adam Dobranicy, adwokaci, mają wiele spraw, przeżywają wiele problemów. I zawodowych i osobistych. Mec. Sylwester, adwokat wyszły z kursu, tęskni do ławy adwokackiej w sądzie — mec. Adam brzydzi się sądem i marzy o innej drodze życia. Obaj posiadają ciekawą gospodynię Balbinę, expulchnikową. We troje stanowią typowy dla przedwojennych sfer burżuazyjnych świątek, żyjący w wygodnym, finansowo ubezpieczonym własnym domu, do którego się tęskni, lub w którym panuje nuda.

Jest poza tym karykaturalna tragiczna postać dyrektora uwodzącego ze skutkiem biuralistkę Kasję. Jest postać mecenasa — krętarza Kieresa, broniącego spraw innej uwiedzionej przez Bailitza. Jest sprawa o alimenty, są kulisy sądownicze, jest bynajmniej nie sielski dworek na wsi, są nawet wariactwa, podróże dyrektorskim autem, tor kolejowy, strzały

z małokalibrowego pistoletu, oraz przeżywanie śmierci samobójcza, jako zakończenie.

Jest wszystko, co powinno być w popularnej, bez pretensji do literackiego znaczenia, przedwojennej, chętnie kupowanej i czytanej powieści.

Nie ma natomiast problemów. Oczywiście problemów nie tego rodzaju, jak nieporozumienia konflikty na tle zawodowym, jeszcze płytsze konflikty na tle uczuciowym itd. i td. Książce nie można odmówić t. zw. oddechu powieściowego. Oddech jest. Odnosi się jednak dzisiaj wrażenie, że jest to oddech astmatyka, który całą wojnę przeżył z konieczności w łóżku i nie tylko nie słyszał i nie nie widział — ale prosto niczego nie przeżył.

Trudną i niewdzięczną jest rola recenzować dzisiaj tego rodzaju książki. Cóż więc można napisać o takiej pozycji wydawniczej?

Chyba tylko to, że jeśli ktoś chce koniecznie wrócić do własnej duchowej atmosfery przedwrześniowej — niech przeczyta książkę W. Rymkiewicza.

J. K.

O. Jacek Woroniecki O. P. **Hagiografia** jej przedmiot, trudności i zadania w Polsce — Rzecz o Świętych Polskich. Kraków, 1940. Skład Główny Gebethner i Wolff, Rynek Główny 23.

W dzisiejszych przełomowych chwilach dla Ojczyzny naszej, w dniach próby charakteru narodowego, kiedy propaguje się świecką moralność w życiu państwowym, myśl nasza mimo woli sięga po żywe wzory bohaterów życia moralnego, opierającego się na religii. Takimi bohaterami moralności są święci, których tylko Kościół katolicki nieprzerwanie wynosi na ołtarze. Wynosi w każdym czasie. A byli rzecie dla Rzeczypospolitej czasu równie niebezpieczne pod względem duchowego rozwoju, tak, jak dziś.

Byli śmiałowicie, którzy grzebali katolicyzm w Polsce w wieku XV i XVII. Byli rady duchowe, które brały rozbrat z katolicką myślą w wieku XVIII i były tyranie, które usiłowały go grzebać w wieku XIX. I dziś są tacy.

Ale byli też w każdym wieku święci w Polsce.

I dziś są. Nie było tylko w Polsce opracowań żywotów świętych, którym nic zarzucić nie można, opracowań stojących na najwyższym poziomie kultury umysłowej danego okresu. I dziś prawie tego nie ma poza nielicznymi wyjątkami. A świętych polskich mamy nierównie więcej, niż każdy inny naród.

Trzeba tylkojąć się wielkiej pracy obudzenia tych wielkich mocy duchowych w narodzie, które biją z postaci świętych naszych, co to jak zakleci rycerze, czekają czasu i hasła, żeby wyjść na świat polski, gdy się poruszy źródła naszych mocy narodowych i religijnych. Wydaje się, że dziś czas taki nastąpi.

Jakże więc na czasie jest niewielka książeczka (52 str. małego formatu), jedna z nielicznych w Polsce nielegalnych druków z okresu okupacji hitlerowskiej, która nie traktowała o polityce, ale szła w głąb potrzeb narodu. Widać jej autor w mroczną noc, zdawało się, beznadziejnej okupacji niemieckiej, szukał dla Ojczyzny i Kościoła trwałych drogowskazów dla przyszłych niepewnych losów.

O. Jacek Woroniecki ze stoickim spokojem i pewnością posiadacza wiecznej, niezmiennej, a na każdy dzień żywej prawdy, sięgnął do tematu świętych polskich. Napisał „Rzecz o Świętych Polskich“ — program nadziei i przyszłości na pokolenia historyków katolickich, którzy muszą hagiografię polską postawić na najwyższym poziomie, tak, żeby przemawiała do duszy każdego polaka.

W książeczce tej zawarte są wskazówki praktyczne co u nas w dziedzinie hagiografii należy zrobić, jakich trudności uniknąć, słowem, jak napisać Żywot pol-

*) Do takich wyjątków należy (że tylko przykładowo zacytujemy) wspaniałe dwutomowe dzieło pod redakcją Ks. Dra K. Wilka p. t. „Gwiazdy Katolickie Polski“, w którym znajdują się prace zarówno redaktora tegoż dzieła jak i Dra Cz. Wilczyńskiego i Ks. Dra A. Marchewki. Dzieło to wyszło drukiem w 1938 r., nakładem K. Miarki w Mikołowie. Niestety dziś już należy do rzadkości bibliotecznych, gdyż cały nakład zniszczyli Niemcy podczas wojny.

skiego świętego, żeby właściwie oddziaływał na duszę dzisiejszego polaka.

Tej miary autor, dotknąwszy tematu, nie zawiódł. Temat ujął w piękny, jędrny, żywy, a współczesny język polski. Tok myśli jasny, przejrzysty, sugestywny. Znajomość przedmiotu i literatury zagranicznej wszechstronna.

Książeczkę powinien przeczytać każdy inteligentny katolik, bo znajdzie w niej niewątpliwie coś nowego dla siebie, a już każdy, ktoby chciał zająć się choćby najpopularniejszym opracowaniem żywotów świętego, musi ją wprost przestudiować. Tak samo żaden wydawca nie powinien puścić do druku najbłahszego szkicu o świętym, jeżeli nie będzie odpowiadać wymogom hagiografii, tak, jak O. Jacek Woroniecki to zagadnienie postawił.

Zywotami zaś świętych Polskich zająć się trzeba niezwłocznie, przede wszystkim żywotami tych, którzy jeszcze nie są ani kanonizowani, ani beatyfikowani. Jest ich legion, jakże mocno liczebnie zwiększony w ostatnim półwieczu, zwłaszcza czasu dwóch strasznych wojen światowych.

Słusznym jest powiedzenie „Matka Świętych — Polska“. Trzeba tylko to powiedzenie ująć w „Polonia Sacra“, pokazać sobie i światu.

B. R.

Autorów i Wydawców, którym należy na umieszczeniu recenzji w naszym piśmie, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

Wieczór autorski Jana Dobraczyńskiego

W środę, dnia 2 stycznia w ramach zebrań literackich organizowanych przez Związek Literatów, odbył się wieczór autorski Jana Dobraczyńskiego.

Dobraczyński odczytał 4 fragmenty z powieści p. t. „W rozwalonym domu“ napisanej podczas pobytu w obozie. Akcja tej powieści, która ma być w najbliższym czasie wydana, toczy się w Warszawie podczas powstania — na przestrzeni jednej doby. Głównym tematem są walki powstańców i ich przeżycia.

Dobraczyński z całym realizmem, naturalnym świadkiem i wnikliwym obserwatorem maluje strzęp epopei powstaniowej, nadając swojej powieści charakter prawdziwego dokumentu. Odwaga, chwilami niemal bezrozumna, ofiarności, pogarda śmierci — to cechy jego bohaterów tak charakterystyczne dla naszych powstańców.

Pierwszy z odczytanych fragmentów dał nam żywy obraz młodzieży w chwili wytchnienia od walki, w chwili opatrywania ran i grzebania poległych. Obraz ten zaprawiony dobitną gwarą powstania — zawiera bardzo ładnie scharmonizowane ze sobą momenty beztrudnej, pełnej męstwa determinacji i bolesnej zadumy. Dobraczyński wierny swojej przewodniej idei, wypowiada się jako prawdziwy chrześcijanin. Ładny jest moment, w którym autor słowami swego bohatera, stojącego nad grobem powstańców mówi: „Śmierć jest tylko fragmentem naszego życia“.

Drugi z odczytanych fragmentów ukazuje nam przeżycia małego harcerzyka, którego urzeka chęć walki z wrogiem. W oczach swego ojca, szukającego w zmaganiach wewnętrznych oparcia w miłości syna, chłopiec przeobraża się z dziecka w żołnierza. Ofiarowany mu przez powstańca granat poroya go, jak żywa istota. Moment wzruszenia, jakiego doznaje chłopiec trzymający w ręku upragniony granat, wypadł bardzo ciekawie.

Fragment trzeci to walka. Z ognia tej walki wyprowadza nas autor, aby opowiedzieć nam historię powstańca, niosącego pomoc moralną nieszczęśliwej towarzysce broni, odnalezionej w opuszczonym przez Niemców domu.

Czwarty z kolei fragment, z którym zapoznał nas Dobraczyński, zajmuje się dziejami odciętej kompanii, której grozi zagłada. Część tej kompanii ratuje się odnalazszy drogę poprzez kanał Pięciu ciężko rannych musi pozostać i oczekiwać swego przeznaczenia. Wraz z nimi pozostaje ich wierny towarzysz, pełen poświęcenia ksiądz, oraz kobieta, która utraciwszy na tej pozycji męża, niezbyt zresztą kochanego, pragnie uczynić ze sie

bie ofiarę. „Gdy nie ma miłości, zostaje rozwalony dom“ brzmią jej słowa. — „Pani go odbudowała“ — odpowiada ksiądz, mając na myśli jej ofiarę. Moment ten, choć z samego założenia bardzo piękny, wydaje mi się niepozabawionym pewnego patosu, nieopartego psychologią. Może zresztą myłę się, przecierając w tym wypadku instynkt macierzyński i samozachowawczy, który powinien — moim zdaniem — pchnąć kobietę do ucieczki przez kanał wraz z synem. O ile względy czysto artystyczne wymagały od Dobraczyńskiego takiego zakończenia, chył przed nim czoło. Cieszy mnie nawet skąd inąd to małe zwycięstwo nad realizmem, którego nie jestem zwolenniczką.

Na zakończenie pragnę dodać, że język Dobraczyńskiego jest prosty, a jednocześnie obrazowy i sugestywny.

Poznane fragmenty każą mi sądzić, że powieść Dobraczyńskiego wzbudzi duże zainteresowanie.

Wanda Bacewiczówna

Przed premierą w Teatrze Polskim

Dnia 17 stycznia, w rocznicę ustąpienia Niemców z Warszawy nastąpi zapowiadane już od dość dawna i z niecierpliwością oczekiwaną przez ludność Warszawy otwarcie Państwowego Teatru Polskiego. Będzie to jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu odradzającej się na gruzach Warszawy, z uwagą na wspaniałe tradycje i poziom tej placówki artystycznej.

Pod sprężystą ręką dyr. Arnolda Szyfmana praca przygotowawcza w Teatrze wre. Teatr jest już kompletnie odremontowany i odbywają się w nim próby. Ale niemałego trzeba było trudu i niemałych funduszy, aby doprowadzić Teatr do obecnego stanu. Brakło dachu, wszystkie urządzenia instalacyjne i sceniczne były zniszczone, kurtyny, część foteli i krzesła z łóż zabrali Niemcy. Dyr. Szyfman po raz drugi, a nawet można powiedzieć po raz trzeci zaczyna pracę od podstaw. Jak wiadomo, jest on twórcą Teatru Polskiego, za jego to bowiem sprawą wybudowano w r. 1913 obmyślony przez niego, a w szczegółach architektonicznych zaprojektowany przez Czesława Przybylskiego gmach Teatru. Stworzenie tej placówki stanowi niejako punkt zwrotny w dziejach teatru polskiego, gdyż Szyfman wprowadził świeży nurt europejski do zaśnieżonego życia naszej sceny. Przez zmontowanie sceny obrotowej po raz pierwszy w Polsce umożliwiono realizację sztuk o dużej ilości często zmieniających się scen i obrazów. Teatr grał rolę nie tylko przybytku sztuki, ale i ogniska skupiającego inteligencję polską w okresie niewoli carskiej. Po wybuchu wojny w r. 1914 Teatr daje szereg przedstawień o charakterze patriotycznym. W r. 1915 Szyfman zmuszony jest wyjechać z Warszawy i pracę w Teatrze Polskim podejmuje na nowo dopiero w r. 1918, wkładając w nią po raz drugi cały wysiłek twórczy. Podnosi Teatr z upadku, zasila go funduszami, czerpanymi z prowadzonego jednocześnie z wielkim powodzeniem Teatru Małego.

Rozmach repertuarowy Teatru Polskiego miał na celu danie polskiej publiczności pełnego obrazu europejskiej twórczości dramatycznej. A więc w Teatrze Polskim grano autorów staro-greckich, francuskich, angielskich, niemieckich, rosyjskich włoskich, hiszpańskich, czeskich, skandynawskich, węgierskich, belgijskich i t. d. O ambicji Szyfmana w zakresie repertuaru świadczy sukces prapremiery „Wielkiego kramu“ Bernarda Shaw'a. Rodzimą twórczość Teatru Polskiego specjalnie popierał, wystawiając: z klasyków — Bogusławskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Fredrę, Korzeniowskiego, Kamińskiego, Bałuckiego, Bliźnińskiego i Wyspiańskiego, a z autorów współczesnych — Grubińskiego, Kiedrzyńskiego, Nowaczyńskiego, Perzyskiego, Roztworowskiego, Kaweckiego, Winawera, Krzywostowskiego, Wrocławskiego, L. H. Morstina i innych. Plany repertuarowe nieraz musiały być oczywiście uzależnione od stosunku publiczności do wystawianych autorów.

Zamierzony repertuar na sezon 1945—46 obejmuje same sztuki polskie. Na otwarcie Teatru Polskiego przygotowywana jest „Lilla Weneda“ Słowackiego. Choć przedstawienie zapowiada się wspaniale (no-mak tego dał mi strzępek próby, na której się przypadkowo znalazłam) muszę stwierdzić, że wybór sztuki, sztuki, w której fatum jest głównym boha-

terem, a główną treścią tragedia girającego narodu — nieco mnie zdziwił. Chyba, że za prof. Kridlem będziemy się doszukiwać w sztuce momentów aktualnych w przekonaniami, że Słowacki pisząc o tragicznej wojnie narodowej, miał na myśli nie tylko przedhistorycznych przodków Polaków, ale nawiązywał również do dziejów późniejszych Polski, do historii powstań narodowych. I doprawdy trudno oprzeć się wzruszeniu, gdy chór harfiarzy kończy akt trzeci słowami: „O! święta ziemia polska! Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lala...”

Lilla Wenede reżyseruje Osterwa, a główne role grają: Barszczewska (Lilla), Broniszówna (Roz), Pancewiczowa (Gwinona), Brydzinski (Lech), Buszyński (Derwid), Grolicki (Sw. Gwalbert), Osterwa (Slaz), Wilamowski (Polelum), Milecki (Lelum). Dekoracje Wacława Borowskiego, ilustracja muzyczna — Szelegowski.

Szyfman, który zawsze dbał o dobry zespół artystyczny i angażował takich artystów, jak: Węgrzyn, Przybyłko-Potocka, Zelwerowicz, Leszczyński, Junosza-Stępowski, Stanisława Wysocka, Jaracz, Brydzinski, Osterwa, obecnie również skupił wokół Teatru Polskiego doskonałe siły, a mianowicie: z pośród reżyserów — Osterwę, Karola Borowskiego i A. Szyfmana, z pośród aktorów poza wymienionymi już, biorącymi udział w „Lilli Wenedzie” — Andryczównę, Lindorfównę, Lubińską, Muncingrówą, Butryma, Chmurkowskiego, Dominiaka, Leszczyńskiego, Wyrzykowski i innych, w ogólnej liczbie czterdziestu czterech aktorów. Dekoracje projektować będzie poza Borowskim Teresa Roszkowska. Kierownikiem literackim Teatru Polskiego jest Jarosław Iwaszkiewicz, co daje nam gwarancję wysokiego poziomu strony literackiej.

W planie repertuaru na bieżący sezon przewidziane są następujące sztuki: ze starych utworów — Fredry „Pan Jowialski” z Solskim w roli tytułowej i „Wielki człowiek do małych interesów”, Józefa Korzeniowskiego, „Majątek albo imię”, przeróbka „Faraona” Bol. Prusa, z nowych natomiast utworów — Marii Dąbrowskiej „Stanisław i Bogumił”, historyczna sztuka z czasów Bolesława Śmiałego, Kazimierza Korciłlego „Papuga”, współczesna komedia polityczna, Iwaszkiewicza „Stara Cegielnia”, przeróbka noweli drukowanej w pierwszym numerze „Twórczości”, Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc”, sztuka o mordowaniu żydów w małym miasteczku, L. H. Morstina „Penelopa” grana niedawno w Krakowie i nowa sztuka Morozowicz-Szczepkowskiej „Genewa” z życia Słowackiego.

Sądząc że zbędna jest rzeczka rozpisywać się szeroko o doniosłej roli Teatru Polskiego w życiu kulturalnym obecnej Warszawy. Dla każdego chyba zrozumiałe jest, że będzie on promieniował prawdziwą sztuką, jakiej nam dotąd brakło, że wykutnie jak kwiat na ruinach Warszawy. Dla setek ludzi „bezdomych”, gnieźdzących się po różnych ciemnych norach, dla ludzi, którym życie wypełnia ciężka praca nad odbudową stolicy Teatr Polski stanie się miejscem wycelnienia i doznań estetycznych, a krzewiona w nim sztuka — pokarmem duchowym wznoszącym ich ponad szarą codzienność. Tym samym Warszawa choć w ruinach, stanie w rzedzie miast, posiadających świątynię twórczego ducha. Jakże tylko byśmy pragnęli, aby władze miejskie udostępniły publiczności Teatr Polski przez oświetlenie pobliskich ulic.

TEATR I MUZYKA

Droga, którą przebyła Warszawa od wyjścia Niemców do chwili obecnej, wydaje mi się ogromna. To, co zdziałano w zakresie odbudowy materialnej, stanowi dokument naszej miłości dla Warszawy, ofiarności, wytrzymałości i siły. Ale nie mogą zgodzić się ze zdaniem tych, którzy uważają, że równie intensywna odbudowa życia kulturalno-artystycznego w Warszawie jest chwilowo zbędna. Nie trzeba od ludzi za wiele wymagać. I nie wolno ludzi dzielić na tych, którzy mają prawo do życia kulturalnego i na tych, którzy muszą go być pozbawieni. Zrozumiała rzecz, że miasto na gruzach nie może sobie pozwolić na taką ilość imprez, jak Kraków czy Łódź, koniecznością jest jednak, aby na ruinach Warszawy odradzała się nie tylko materia, ale i duch. I zbędna jest nawet jakakolwiek dyskusja w tej sprawie. Zresztą wystarczy obejrzeć się za siebie. Jeszcze niedawno, bo przed pół rokiem miała Warszawa tylko dwa teatry, a mianowicie „Teatr Powszechny” na Pradze i „Teatr Mały” na Marszałkowskiej, obecnie zaś posiada ich już cztery, przybyły jej bowiem — na jesieni „Teatr Comoedia” na Pradze, a w początkach grudnia „Scena Muzyczno-Operowa” na Marszałkowskiej. Poza tym w połowie stycznia ma nastąpić otwarcie Państw. Teatru Polskiego pod dyrekcją Szyfmana, o czym piszę oddzielnie.

Pierwszy teatr po powstaniu powstał w Warszawie (na Pradze) na jesieni 44 r. pdo dyrekcją Jana Mrozińskiego. Teatr ten pod nazwą „Teatr m. st. Warszawy” (obecny „Powszechny”) wystawił kolejno: „Moralność Pani Dulskiej” Zapolskiej, „Słuby Panielskie” Fredry, „Szczęście Frania” Perzyskiego i „Sekretarke pana Prezesa” Fodora. Późną wiosną 45 r. nastąpiło otwarcie drugiego Teatru Miejskiego — „Małego” również pod dyr. Mrozińskiego, gdzie dano „Burmistrza Stylmondu” Maeterlincka. W lecie miejsce Mrozińskiego zajął Eugeniusz Poreda

i od tego czasu teatry miejskie grały „Przeprowadzkę” Rozwadowskiego, „Obcym wstęp wzbroniony” Heleny Buczyńskiej i „Macierzyństwo panny Jadzi” Wandy Jagienki Sliwiny. Dwie ostatnie sztuki dotąd jeszcze idą. W nowopowstałym na jesieni Teatrze „Comoedia” wystawiono stary wodewil Konstantego Krumińskiego w inscenizacji Leona Schillera, obecnie zaś grana jest tani „Placówka” Prusa w przeróbce Janiny Morawskiej. W repertuarze na bieżący sezon Teatry Miejskie przewidują następujące sztuki: „Wróg ludu” Ibsena, „Dom otwarty” Baluckiego, „Freuda teoria snów” Cwojdzinskiego i „Dom bez kłamstwa” Montgomerrego. Jeżeli chodzi o scenę Muzyczno-Operową, to po „Verbium nobile” Moniuszki i „Pajacach” Le oncawalla ma pójść „Cyrulik Sewilski” Rossiniego z Karwowską, „Madame Butterfly” Pucciniego i „Faust” Gounoda.

W projekcie jest utworzenie teatrów dzielnicowych w 10-ciu dzielnicach miasta. Salki na ten cel przygotować ma T. U. R., dyr. Poreda zorganizuje natomiast ruchomy teatr. Mówiąco o teatrze ruchowym poczuwam się wspomnieć o Teatrze kukielkowym Robotn. Towarzystwa Przyjaciół Dzieci „Baj”, działającym na terenie Warszawy. Obecnie Warszawa zyskała stały teatr (żywy) dla dzieci pod nazwą Centr. Teatr Milicji Obyw. na Karowej, który daje bajkę „Choinka Zosi”, pióra J. Cwiklińskiej i St. Płostńskiego. Przed samymi świętami reklamował się również inny nowy teatr — Teatr Małych Form „Różowy balonik” w Romie, którego zespół tworzą: Chmurkowska, Winiarska, Jaksztas, Lubliniecki, Mroziński i Strachocki.

Powracając do działalności władz miejskich w zakresie szerzenia kultury i sztuki, trzeba dodać, że Sekcja upowszechniania sztuki organizuje koncerty, widowiska, odczyty, poranki artystyczne i przedstawienia dla dzieci i młodzieży z udziałem aktorów, tancerzy, muzyków, miejskiego chóru i orkiestry tak w śródmieściu, jak i na peryferiach. Ostatnio w dn. 6 stycznia Wydział Kultury i Sztuki Zarządu Miejsk. zorganizował w sali Romy 2 imprezę: audycję poetycką „Gody”, poświęconą Bożemu Narodzeniu i jego tradycjom oraz pierwszy popularny koncert muzyki i pieśni operowej w wykonaniu orkiestry symfonicznej pod dyr. Olgierda Straszynskiego z udziałem Zofii Komorowskiej (sopran).

Poziom naszej orkiestry symfonicznej nie jest wysoki i to słuszenie boli muzyków i melomanów warszawskich. Myśl o reaktywowaniu Filharmonii Warszawskiej na wysokim poziomie bezustannie zaprząta umysły tych, którzy pragną dobrej muzyki, a także tych, którzy chcą, aby Warszawa ze względu prestiżowych miała nie tylko pierwszorzędną teatr, ale i pierwszorzędne koncerty. Wychodząc z założenia, że wysoki poziom orkiestry wymaga dużego nakładu pracy, oraz dużych funduszy, Zarząd Główny Związku Muzyków podjął akcję, mającą na celu uniezależnienie orkiestry filharmonicznej od Zarządu Miejskiego i utworzenie z niej samodzielnej placówki podległej Ministerstwu Kultury i Sztuki, Ministerstwu Informacji i Propagandy, oraz Radiu. Ministerstwo Kultury i Sztuki sprzeciwiło się początkowo tej koncepcji uważając, że Filharmonia w znaczeniu przedwojennym nie jest obecnie Warszawie potrzebna, lecz ostatecznie względy reprezentacyjne przeważały i obecnie Zarząd Gł. Zw. Muzyków pertraktuje z zainteresowanymi czynnikami w tej sprawie. Decyzja ma zapadnąć jeszcze w styczniu. Aby poprzeć całą akcję, Dyrekcja Radia zobowiązała się nie tworzyć własnej orkiestry, lecz korzystać z orkiestry filharmonicznej i transmitować jej koncerty. Specjalna Rada Artystyczna gwarantowałaaby wysoki poziom Filharmonii. Oczywiście dla stworzenia pełnej orkiestry na dobrym poziomie trzeba by sprowadzić około 20-tu muzyków, dać im mieszkania, a także trzeba zdobyć miejsce na próby i koncerty. Muzycy żywią nadzieję, że Ministerstwa i Radio nie poskapią subsydiów dla reaktywowania tak potrzebnej kulturalnemu człowiekowi placówki. Ludność Warszawy żyje właściwie zupełnie bez koncertów i co gorsza przyzwyczajają się do tego. Biorąc pod uwagę niski stopień muzykalności naszego społeczeństwa, uważam, że jest to obłąkany dosyć groźny. Obowiązkiem naszym jest wezwać publiczność warszawską do brania udziału w naszym życiu muzycznym. Jestem przekonana, że rolę tę najlepiej spełni dobra orkiestra, organizując stale występy.

Recitale odbywają się w Warszawie coraz rzadziej. Przyczyna jest oczywiście natury materialnej. Oto garść cyfr, podanych mi przez Centralne Biuro Koncertowe, które organizuje na terenie Warszawy koncerty.

Urządzenie koncertu w Romie wynosi przeciętnie około 28.000 zł., a mianowicie: wynajęcie sali od K.R.N. 4.000 zł., wypożyczenie fortepianu z Instyt. Fr. Chopina 4.000 zł., druk i rozklejenie afiszów 14000 zł., podatek 12% i t. d. Przeciętny dochód z koncertu wynosi około 10.000 zł.

Jest rzeczą nieco dziwną, że kancelaria Krajowej Rady Narodowej każe sobie płacić tak duże sumy za wynajem sali. Śmieszne mi się też wydaje pobieranie podatku od koncertów, które mają przebiec na celu szerzenia kultury muzycznej. To, że Biuro Koncertowe nie ma własnego instrumentu i musi każdorazowo wypożyczać fortepian, jest faktem niemniej godnym oburzenia. Czyż mało jest polniemieckich instrumentów we Wrocławiu czy nawet w Łodzi? Główną przyczyną istniejącego stanu rzeczy jest brak po-

parcia ze strony czynników miarodajnych. Wynik tego jest taki, że koncerty są z reguły deficytowe (wyjątek stanowią recitale Szpinalskiego i Sztompki), wobec czego działalność Biura Koncertowego musi słabnąć. Dotąd C. B. K. zorganizowało następujące ciekawsze koncerty: recital Bandrowskiej-Turskiej, — koncerty Państw. Filharmonii Krakowskiej, recital Szpinalskiego, koncerty chopinowskie z okazji przewiezienia serca Chopina, recital Sztompki, oraz szereg innych koncertów. Obecnie z powodu trudności

finansowych, Biuro Koncertowe musi się ograniczyć do organizowania koncertów w małej salce na Szkole im. Karola Kurpińskiego na Wiejskiej, gdzie koszty są znacznie niższe. Koncerty urządzone przez Dyrekcję Szkoły odbywają się tam prawie co tydzień, począwszy od marca ub. r. W okresie świątecznym nastąpiła z różnych względów przerwa i najbliższy koncert odbędzie się dopiero 13 stycznia. Będzie to recital fortepianowy Tatiany Wojtaszewskiej.

Wanda Bacewiczówna

Życie gospodarcze

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

Niewdzięczny Albion. Długie i uciążliwe rokowania między delegatami Anglii U. S. A. w Waszyngtonie w sprawie pożyczki dla W. Brytanii doprowadziły wreszcie do ustalenia warunków transakcji, które zostały zaakceptowane przez parlamenty obu krajów.

Postawa opinii angielskiej wobec tych warunków, jest daleka od uczuć wdzięczności — wręcz przeciwnie, rozczarowanie, a nawet rozgorzenie z powodu wykozystania przymusowej sytuacji, w jakiej się znalazła W. Brytania po zakończeniu drugiej wojny światowej, to dominująca siła w wypowiedziach zarówno przedstawicieli kół politycznych i gospodarczych, jak i organów prasowych. Niezmiernie charakterystyczny jest pod tym względem artykuł, który się ukazał w „The Economist” bezpośrednio po opublikowaniu pierwszych, chociaż jeszcze nie wyczerpujących wiadomości o wyniku pertraktacji waszyngtońskich. Na wstępie autor przytacza główne warunki uzyskania kredytu, interesujące także i dla innych kandydatów na dłużników amerykańskich, które są następujące:

1. Kredyt wynosi 4.400.000.000 dol., w tym 650.000.000 dol. na spłatę należności za dostawy z tytułu „lend — lease”.

2. Przez pierwszych pięć lat Anglia nie będzie spłacać ani odsetek ani kapitału, w późniejszych latach będzie płacić odsetki w stosunku 2% rocznie oraz raty na umorzenie kapitału, tak obliczone, że łącznie obsługa długu nie przekroczy 3,18% jego wysokości, t. zn. wyniesie nie więcej, niż 140.000.000 dol.

3. Odsetki ulegają skróceniu, jeżeli wartość widocznego i niewidocznego eksportu Zjednoczonego Królestwa spadnie w jakimkolwiek roku poniżej £66.000.000 funtów szterlingów (przeciętna z lat 1936 — 1938) przy uwzględnieniu zaszytych w międzyczasie zmian w poziomie cen. Te odsetki nie będą więc doliczane do kapitału.

4. Rząd brytyjski zaprosi swych wierzycieli — zarówno z pośród uczestników bloku szterlingowego, jak i z poza niego, jak np. Argentynie — do omówienia ewentualnej redukcji swych długów, ofiarowując im wzajemnie stopniowe odmrzaianie reszty zadłużenia oraz możliwość swobodnej wymiany walutowej wszelkich sald, które mogą w przyszłości powstać z tytułu wzajemnych rozrachunków.

5. W. Brytania ratyfikuje niezwłocznie układy w Bretton-Woods i zgadza się na skrócenie w stosunku do siebie na jeden rok okresu przejściowego, który w myśl układów ma trwać pięć lat, jak również na przyjęcie w ciągu jednego roku wszelkich zobowiązań, przewidzianych w układach.

6. Rządy W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych zwrócą się wspólnie do innych rządów z zaproszeniem na odbycie w najbliższym czasie konferencji międzynarodowej na temat polityki handlowej, oraz złożą przy tej sposobności uzgodnioną między sobą deklarację co do zasad, jakie mają zamiar przedstawić konferencji do przyjęcia.

Autor stwierdza bez ogródek, że warunki finansowe pożyczki, ratyfikacja układów w Bretton-Woods i związanie się w sprawie zasad międzynarodowej polityki handlowej, wszystko to razem będzie dla parlamentu angielskiego nader gorzką pigułką do przełknięcia (artykuł ukazał się jeszcze przed ratyfikacją umowy o pożyczkę).

Dla wielu parlamentarzystów kamieniem obrazu są koncepcje Bretton-Woods, nawiązujące do waluty złotej dla innych deklaracji zasad handlu międzynarodowego, jako zagrażająca preferencjom imperialnym i ingerencji państwa w organizację tego handlu, dla wszystkich zaś niewymownie przykra jest perspektywa spłacania pożyczki przez pięćdziesiąt lat.

Czy jednak odrzucenie amerykańskiej oferty i tym samym współdziałanie w szeregu współzależnych od siebie dziedzin, jest do pomyślenia? Odpowiedź musi wypaść negatywnie. W pierwszym rzędzie byłoby to równoznaczne z podważeniem samej zasady współpracy anglo-amerykańskiej. Należy przy tym pamiętać, że wzmianki za pomoc amerykańską, czy to w postaci „lend — lease”, czy w innej, W. Brytania stała przrzekała: liberalizowanie swej polityki handlowej i finansowej. Oskarżenie Anglii o złę wiarę byłoby nieuchronną konsekwencją odmowy ratyfikacji. W drugim rzędzie należy rozważyć, czy Anglia w ogóle może sobie dać rady w najbliższych dwóch latach bez wielkich kredytów dolarowych?

Wpływy z eksportu nie mogą wystarczyć na pokrycie importu ogromnej ilości dóbr inwestycyjnych i konsumcyjnych,

potrzebnych Anglii w okresie odbudowy, a polityka zaciskania pasa po sześciu latach ograniczeń wojennych byłaby równie niecelowa, jak i nierealna. Anglia nie ma więc innego wyboru, jak przyjąć warunki amerykańskie. Autor nie kryje jednak uczuć gorczy i upokorzenia z tego powodu, wyrażając je tak dosadnie, że z przyszłowiej powściągliwości angielskiej nie zostało nawet śladu. „Pozostawiamy Amerykanom stwierdzenie, jaką przyjemność im sprawiło narzucenie warunków swoim najlepszym przyjaciołom, odniesienie nad nimi zwycięstwa za taką cenę”.

W ciągu trzech miesięcy delegaci brytyjscy krok za krkiem ustępowali ze swych pozycji, zaciebie broniących do ostatka. Amerykanie zachowali wszystkie korzyści, wypływające z dysponowania gotówką, Anglii zrezygnowali z wszystkich atutów, łączących się z możliwościami ograniczenia importowych Mamy spłacać Amerykę, spłacać innych wierzycieli, wyrzec się możliwości dewaluacji funta szterlinga. Wszystko to odbyło się w imię usłudzonego hasła zniesienia wszelkich dyskryminacji. Zwycięstwo tego hasła, to jednak zarazem zarzucenie koncepcji jakiegokolwiek planowej ekspansji handlu światowego, jakiegokolwiek świadomego pokierowania jego kierunkiem i rozwojem i pozostawienie wszystkiego na pastwę „wolnej gry sił”.

Trudno było znaleźć Anglika, któryby nie sądził, że wykorzystano przymusowe położenie, w jakim się Anglia znalazła z powodów, które jedynie zaszczyt mogą jej przynieść. Nasze obecne trudności, to bezpośrednie następstwo faktu, że zaczęliśmy walczyć przeciw, że walczyliśmy najdłużej, że walczyliśmy najciężej. W moralnym znaczeniu my jesteśmy wierzycielami — i z tego tytułu mamy płacić po 140.000.000 dolarów rocznie aż do końca XX wieku. Być może, że jest to nieuniknione: ale nie jest to sprawiedliwe”.

Tak więc — stwierdza autor — gospodarka brytyjska ma znowu wypłynąć na burzliwe wody międzynarodowych obrotów bez ograniczeń handlowych czy dewizowych. Można się było spierać, czy W. Brytania, przystępując do porozumienia w Bretton-Woods, postąpi rozsądnie kładąc z chwilą upływu pięcioletniego okresu przejściowego, przewidzianego w porozumieniu środki, zmierzające do ochrony swego handlu i waluty. Skrócenie jednak okresu przejściowego do jednego roku, przyjęcie na siebie po upływie tego roku terminu wszystkich obowiązków, wynikających z tego porozumienia, w całej pełni, gdy jeszcze nie ukończono demobilizacji ani przestawienia przemysłu na potrzeby pokojowe, jest przyjęciem na siebie olbrzymiego ryzyka. W najlepszym razie oznacza to konieczność szybszego zużytkowania kredytów dolarowych, niżby to było wskazane, w najgorszym — wyczerpanie się ich, zanim Anglia potrafi stanąć o własnych siłach.

Niewątpliwie mechanizm posługiwania się złotem, ustalony w Bretton-Woods, jest elastyczniejszy, niż przy tradycyjnym systemie waluty złotej, ale mimo wszystko analogie przeważają. Jeśli ten mechanizm będzie działał sprawnie, jeśli okres przejściowy przebiegnie szybko i gładko, a handel światowy zyska następnie zarówno na objętości, jak i na stałości, wszystko zakończy się dobrze. Niestety, trudno pod tym względem nie żywić najpoważniejszych obaw. Wszystko zależy od tego, jaka będzie polityka Ameryki w dziedzinie handlu zagranicznego, ta zaś z kolei zależy od stopnia stałości wewnętrznej gospodarki U. S. A. Ktokolwiek jednak wierzy w jej ewolucję w kierunku stałości, zasłużył sobie na dypl. m za optymizm.

Tak czy inaczej, ofertę amerykańską trzeba przyjąć. W konkluzji jednak autor stwierdza, że jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że podczas gdy ta decyzja zostanie powzięta z żalem po jednej stronie Atlantyku, to na drugim brzegu nie będzie trzeba wielu kampanii wyborczych do kongresu, by zasady gospodarcze, od których przyznanie kredytu uzależniono, zostały jedna za drugą ocalone.

K.

Komitet Budowy Kościoła Chrystusa-Króla w Dąbrowie Górniczej prosi czytelników „Niedzieli” o jakakolwiek wiadomość o Ks. Franciszku Strzelczyku. W r. 1939 Ks. Franciszek Strzelczyk wstąpił do wojska jako kapelan. Inne pisma przesłane są o przedrukowanie tej prośby.

S Z E R O K I H O R Y Z O N T

HITLER MIAŁ RACJĘ

Przecież nie tak dawno jeszcze, drżała ziemia, kiedy maszerowały niezwyciężone armie niemieckie, przecież nie tak dawno brunatne hordy wyśpiewywały o sztandarach ze swastyką, które załoczą nad światem...

Dziś, kiedy ten cały koszmar jest za nami, niejednemu z nas nasuwa się, być może, pytanie, co też się stało z tymi sztandarami niedoszłych władców świata?

W Moskwie, w muzeum Czerwonej Armii, znajduje się specjalna sala, gdzie wystawione są sztandary formacji wojsk radzieckich, które odznaczyły się specjalnie w walce z Niemcami. Na honorowym miejscu widnieje czerwona flaga, zwana „Sztandarem Zwycięstwa“, postrzeżona przez kule. Flaga ta przeszła już do historii: o godzinie 14.25 dnia 30 kwietnia ubiegłego roku sierżanci Jegorow i Kantaria przebili sobie, walcząc w Berlinie, drogę do gmachu Reichstagu, wdarli się na jego dach i wciągnęli na maszt na kopule ten czerwony sztandar — symbol zagłady stolicy Rzeszy. Jak i inne sztandary wojsk radzieckich, tak i ten jest skromnie wykonany — podobnie prosty wygląd mają nawet wystawione w tejże sali sztandary formacji gwardyjskich, które jedynie portretem Lenina i odpowiednimi napisami różnią się od innych. Nietrudno zrozumieć powody tego braku przepychu, — najprościej tłumaczy je jedna z robotnic, które je wykonały: „Nie miałyśmy czasu, by należycie wykończyć te sztandary. Ale drżały nam ręce i twarze gorzały od wzruszenia, kiedy pakowałyśmy do wysyłki te proste flagi, które prosto z fabryki powędrowały na front, przebiegający wówczas zaledwie o kilka kilometrów od naszego miasta“.

Otóż na podłodze, pod tymi zwycięskimi chorągwiemi, leżą chorągwie zwyciężone. Jest tego coś koło tysiąca. Są tam i stare pruskie sztandary pułkowe, których haftowane złotem napisy wskazują, że jeszcze w 1807 roku ich formacje broniły się w oblężonym Kołobrzegu przed atakującymi wojskami Małego Kaprała. Są tam i sztandary z napisem: „Z Bogiem — za króla i ojczyznę“, o drzewcach zakończonych pruskim orłem i emblematami królewskimi. Ale perełką tej bogatej kolekcji jest chorągiew „Adolf Hitler SS — Leibstandarte“ — gwardii przybocznej Führera. Jest on bajecznie kolorowy i efektowny — nie powstydziliby się go żaden z prowincjonalnych cyrków, dla przybrania wejścia do menażerii: na lakierowanym drzewcu widać miedziane ozdóbki, nad nimi poprzecznie przytwierdzono flagę wojenną Rzeszy, przywiązaną dwoma rogami do solidnej, metalowej tabliczki z imieniem i nazwiskiem Wodza. Tabliczka ta ma posrebrzane krawędzie, co zwiększa jeszcze jej mieszczański wygląd — równie dobrze jak na sztandarze, mogłaby figurować na drzwiach jakiegoś mieszkania, gdzieś, w małym miasteczku, z napisem, dajmy na to — „Dr Pifke-Veterinär“. Dla skompletowania tego panopticum, nad tą tabliczką jest spore, miedziane i ornamentowane w liście dębowe koło, na którym siedzi z rozportartymi skrzydłami niemiecki orzeł.

Ale nie śmiejemy się z niemieckiego gustu! Przecież ostatecznie Adolf Hitler postawił na swoim! Jego przepowiednia, prorokująca, że sztandary Rzeszy znajdują się w Moskwie, została — jak to widzimy — całkowicie potwierdzona przez rozwój wypadków...

kształtów. Przede wszystkim olbrzymia szybkość spowoduje naskutek tarcia wytworzenie wielkiej temperatury wewnątrz pocisku. Dla przeciwdziałania będzie on zaopatrzony w podwójne ściany szczelnie izolowane, a także we własne urządzenia chłodnicze. Dalej, musiano brać pod uwagę fakt, że podczas części przelotu, pilot znajdować się będzie poza strefą faktycznego działania siły przyciągania i co za tym idzie, nie będzie miał w tym czasie własnego „ciężaru“. W konsekwencji, objażyby się wtedy o ścia-

ny swej kabiny, tak, że dla zapobieżenia temu, będzie musiał nosić kombinezon, odpowiednio obciążony, a także będzie leżeć na podłodze kabiny, silnie do niej przytwierdzony.

Prasa brytyjska zamieszcza już nawet rysunki tego epokowego odkrycia. Zbrodnicze zamiary niemieckich uczonych może już niedługo znajdą swe pokojowe zastosowanie, może już niedługo „A 10“ nadleci nad New-York, mając na pokładzie nie dynamit, ale worki z listami, nadanymi przed godziną w Londynie.

TO JEST AMERYKA

Na zakończenie naszego tygodniowego przeglądu chęlibyśmy porozmawiać z naszymi Czytelnikami na nieco pogodniejsze i bardziej lekkie tematy.

Mamy przed sobą ostatni numer bardzo poczytnego miesięcznika amerykańskiego „Reader's Digest“, który ma pewną stałą, bardzo oryginalną rubrykę. Nosi ona nazwę „Życie w tych Stanach Zjednoczonych“ i składa się na nią wyłącznie materiał, nadsyłany przez czytelników tego miesięcznika, a który stanowi krótkie anegdoty. Muszą one być prawdziwe, zaobserwowane przez samego nadsyłającego i stanowić miniaturową charakterystykę amerykańskiego życia, czy też amerykańskiej mentalności. Za każdą anegdotę, przyjętą do tego działu, wydawnictwo płaci sto dolarów.

Dla ciekawości podajemy list, jaki został przedrukowany w tym dziale. Nadesłał go pewien porucznik, dodając wyjaśnienie, że otrzymała go jego żona, będąca neuczycielką w małym miasteczku. Ów porucznik nadmiernia również, że przebywał sam na froncie przez 28 miesięcy, zdala od swej ojczyzny i że uważa

ten list, nadesłany jego żonie nazajutrz po przybyciu cyrku wędrownego do miasteczka, gdzie wykłada ona w szkole, za niezrównany dokument „amerykańskości“. A oto treść tego listu:

„Droga Nauczycielko! Jak ci wiadomo, na wychowanie składa się wiele rozmaitych rzeczy. Będzie to i czytanie i pisanie i rysowanie. Będzie to także „Tak, proszę“, oraz „Nie, dziękuję“. Będzie to również mycie rąk, jak i używanie widelca. A dalej — i ołówki i nożyczki i klej i gumy i pył kredowy. I także zapach szkolnej izby wczesnym rankiem w poniedziałek. I także wakacyjne podniecenie. I także jesienne ogniska i saneczki i brodenie po kałużach.

O tak, na wychowanie składa się wiele rzeczy. Będzie to i wrzaskliwa orkiestra dęta i kobiecia wystrzeliana z armaty, łmoskoczek, foka wygrzywająca nosem jakąś melodię. To będą także cłowni, lwy, cowboje i błyskotki. Wychowanie jest podziwianiem nowych wrażeń i nowych rzeczy. A to — mówiąc krótko — jest w cyrku.

Oto dlaczego Ginger nie była wczoraj na lekacjach. Proszę o wybaczenie tego“.

NIWŁAŚCIWY WYNAZAZEK NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Jak dotąd, większość epokowych wynalazków, została przez rodzaj ludzki zużyta zamiast do pierwotnego, pokojowego celu, do usprawnienia techniki zabijania. Z tym więc większą satysfakcją możemy dziś podać naszym Czytelnikom tę wiadomość z Londynu, notującą odwrotne zupełnie zjawisko.

Na zebraniu Królewskiego Towarzystwa Aeronautycznego pan W. G. A. Perring z Królewskich Zakładów Lotniczych, podał ciekawe szczegóły dalszej ewolucji wielkich pocisków rakietowych, którymi Niemcy jeszcze przed rokiem bombardowali Wielką Brytanię. Jak wiadomo, zasięg tych latających bomb był stosunkowo niewielki, a czas lotu nie przekraczał pięciu minut. Jednakże pod koniec wojny niemieccy uczeni pracowali nad pociskiem „A 10“, który miał być

użyty do ostrzeliwania Nowego Jorku z ładu europejskiego. Podczas swego lotu na tej olbrzymiej trasie, pocisk miał być sterowany automatycznie specjalnymi urządzeniami gyroskopijnymi, które miały nadawno mu odpowiedni kierunek podczas przelotu ślizgowego, jaki miałby miejsce po osiągnięciu przez „A 10“ odpowiedniej, bardzo znacznej wysokości.

Obecnie Anglicy pracują nadal nad tym wynalazkiem, ale idą w kierunku stworzenia uskrzydłonego pocisku rakietowego, który byłby pilotowany przez człowieka, a którego zadaniem byłoby przewożenie poczty między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. Jak oświadczył wspomniany prelegent, dalekie od fantazji poważne obliczenia naukowe stwierdzają, że rozwiązano już wszystkie poważniejsze problemy w związku z budową takiego pocisku, którego czas przelotu z Europy do Ameryki wynosić będzie trzy kwadransy. Będzie on wystrzeliwany na wysokość 200 mil, z której opadać będzie z zawrotną szybkością 8000 (osiem tysięcy!) mil na godzinę. Pilot rozpocznie prowadzenie pocisku dopiero wtedy, kiedy ten osiągnie wysokość około 30 mil nad powierzchnią morza, kierując go w locie szybkoocnym, możliwym dzięki skrzydłom i sterowi. Koło celu podróży, pilot wynajdzie wyznaczone lądowisko przez specjalną szybę na przodzie pocisku, wysunie podwozie i wylądzie z szybkością około 80 mil na godzinę.

Naturalnie, nie można zapominać o olbrzymich trudnościach, jakie trzeba było pokonać dla nadania projektowi realnych

KRONIKA WYPADKÓW

Niemieckie prawodawstwo nie posiadało w zapasie wielkiego repertuaru kar: obóz koncentracyjny, dożywotnie więzienie, powieszenie — były powszechnie stosowane nawet w wypadkach, gdzie kodeksy państw cywilizowanych przewidywały grzywnę lub areszt.

Nie więc dziwnego w tym, że nie czując nad sobą bata gestapo, a tylko humanitarną policję sprzymierzonych, Niemcy zaczęli brykać. Oto kilka kwiatków z kroniki policyjnej jednego tylko tygodnia z brytyjskiej strefy okupacyjnej.

Znany aktor filmowy Harry Piel, zapomniał podać w zarządzanej przez władze brytyjskie ankiecie, że należał do SS — któżby tam sobie zaprzętał teraz głowę takimi głupstwami? Odmiennego zdania był jednak brytyjski Trybunał Wojenny w Hamburgu, zamykając roztrąconego Piela do więzienia, gdzie będzie miał czas dla wspomnienia swych grzechów młodości.

W Bochum skazano na dwanaście lat więzienia żandarma Josefa Hanza, który mając polecone strzeżenie miejskiej pieczęci, używał jej do stemplowania fałszywych kartek żywnościowych. Anglicy stłumili natychmiast z właścicielką im brutalnością te przejawy inlejatywy prywatnej, dodając Hanzowi do towarzystwa kilku współników nieudanej imprezy.

Niemcom nie wolno mieć samochodu bez specjalnego zezwolenia. Oficer brytyjski zauważył na ulicy w Bochum dwóch cywili w samochodzie. Kiedy zbliżył się, by ich wylegitymować, samochód odjechał z dużą szybkością. Ciąg dalszy jak na amerykańskim filmie: brytyjska policja ściga uciekających na trasie 32

kilometrów oraz — happy end — zamyka krnąbrnych Niemców do kozy.

Od 15 do 28 października w samej tylko Westfalii policja wykryła 786 wypadków szmuglu żywności. Od 7 do 31 tegoż miesiąca, Anglicy odebrali szmuglerom ponad milion kilogramów ziemniaków, 72.000 kg. owoców i jarzyn, 10.000 sztuk jaj i 512 sztuk trzody chlewnej, bydła lubi koni.

I jakże tu twierdzić, że Niemców trzeba wodzić za nos, że nie dorosli jeszcze do samodzielności? Widocznie nauka wyniesiona z okupowanych przez tych nędznych krajów, nie poszła w las, radzą sobie teraz, jak mogą, nie potrzeba już nawet wołać — Deutschland erwache!

Przepraszamy naszych Czytelników za bardzo niestaranną korektę dwóch ostatnich numerów. Złożyły się na to przyczyny niezależne od redakcji pisma.

Z OSTATNIEJ CHWILI

W Krakowie zmarł po długiej chorobie

ś. p.

STANISŁAW KUTRZEBA

Prezes Polskiej Akademii Umiejętności, Profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.

W Zmarłym traci Nauka polska i Narod polski wielkiego swego Syna.

POLSKIE TOWARZYSTWO EKONOMICZNE WZNOWIŁO DZIAŁALNOŚĆ.

Celem dalszego prowadzenia prac nad rozwojem wiedzy ekonomicznej w Polsce wznowiona została działalność Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

Na zjeździe ekonomistów w dniu 2 b. m. utworzona została Rada Naukowa i Zarząd Główny.

Skład Prezydium Rady jest następujący: Prezes: Prof. Adam Krzyżanowski, V. Prezes: Prof. Edward Taylor, Sekretarz: Prof. Edward Lipiński.

Skład Prezydium Zarządu Głównego jest następujący: Prezes: Prof. Edward Lipiński, V. Prezes: Prof. Stefan Zaleski, V. Prezes: Prof. Witold Krzyżanowski. Skarbnik: Dr. Secomski, Sekretarz: Dr. Zymunt Filipowicz.

Sekretariat Zarządu: Warszawa, Al. Jerozolimskie 93 m. 46.

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“ Widok 24. B-04757

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5.